



NAOKOŁO ŚWIATA

9 3 6

NR. 146



ENA 1 zł



Zabawa... w wojsko

Stara i młoda generacja przy nowoczesnym karabinie maszynowym
w miasteczku angielskim

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Półtłusty krem VIRGINIA Perfection

Pośród masy kremów, które znajdują się w sprzedaży i które są reklamowane, trudno się zorientować, który krem wybrać do stałego użytku, żeby był rzeczywiście stosowany racjonalnie i z dodatnim skutkiem.

Największą wadą kremów są niedomówienia w przepisach: czy krem jest tłusty, półtłusty lub nietłusty (suchy).

Obecnie więc staramy się objaśnić klientkę, jakiego rodzaju są nasze kremy: 1) jako tłusty, polecamy *Krem Neutre*, 2) jako nietłusty (suchy) *Krem Seta*, 3) co się tyczy półtłustego, to jest nim właśnie *Krem Virginia*.

Krem Virginia jest przygotowany na bardzo delikatnych tłuszczach i pomimo, że zawiera około $\frac{3}{4}$ części tłuszczów, nie jest jednak zmydlany alkalkami, tak że może być stosowany nawet do najwrażliwszej i najdelikatniejszej cery.

Przytem *Krem Virginia* wieiera się do sucha i wobec zawartości dużej ilości tłuszczów, które jednak doskonale wchłaniane są przez naskórek, nadaje się do cery normalnej i cołkolwiek suchej. Dlatego też *Krem Virginia* polecamy specjalnie do cery normalnej, do stałego użytku, jako krem odżywczy i wydelikatniający, a również pod puder.



Żyrafa jako zabawka dla dzieci

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 146

R O K 1936



Katarzyna Hepburn jako Marja Stuart w filmie wytw. RKO Radio

TREŚĆ NUMERU

JAR. HASZEK, Z pamiętnika reportera	Str. 5
B. FLEMING. Ślad	„ 9
L. LAGIN, 153-ch samobójców	16
W. ARDOW, 28 węży	21
CH. C. DOBIE, Otwarte okno	25
ILUSTRACJE	„ 41-48
Uczeń krawiecki	„ 49
EDGAR ALLAN POE, Przygoda	„ 52
A. BUCHOW, Historia czterech wysp	„ 61
ST. CRANE, Sekret bohaterstwa	„ 66
MICHAŁ ZOSZCZENKO, W miłosnym labiryncie	„ 73
Anegdota o Andersenie	„ 78
A. BIERCE, Pogrzeb Johna Mortonsona	„ 79

Na okładce: Steffi Duna — z filmu w barwach naturalnych
„Tańczący pirat” wytwórni RKO Radio

Rysunki E. Kanarka i M. Wajchtówny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12. tel. 522-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Redakcja we wtorki i czwartki od godz. 12 do 14

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką,

zł. 3.— zagranicą zł. 5.—

Zeszyt pojedynczy 1 zł.

*Rękopisów i fotografii niezamówionych, przysyłanych pocztą bądź też skła-
danych osobiście, redakcja nie przechowuje i bezwzględnie nie zwraca*



I

Pojechałem niedawno do pobliskiego miasteczka dla wydobywania szczegółów o wielkiej kradzieży, dokonanej u pewnego kupca. Kupiec powitał mnie wystraszonem spojrzeniem. W takich sytuacjach nie namyślałem się. Energicznie przystępuję do zdobywania potrzebnych mi wyjaśnień.

— Ile pan ma lat? — pytam surowo.

Kupiec, trzęsąc się ze strachu, odpowiada:

— Czterdzieści osiem.

— Hm... — mruknąłem, przeglądając protokół policyjny. — Ale protokół mówi, że pan ma 53 lata. Czem pan to objaśni?

Reporter powinien w sposób zdecydowany zdobywać prawdę i nie czynić nikomu żadnych ułatwień.

— Jeżeli pan chce, jeżeli pan pozwoli — rzekł pobladły kupiec — przyniosę panu moją metrykę.

— Proszę przynieść!

Zapaliłem cygaro i siadłszy wygodniej w fotelu, który stał przed biurkiem, zacząłem niedbale przeglądać korespondencję mego klienta.

Ludzie naszego zawodu muszą wzbudzać lęk w tych próżniakach, którzy pozwalają się okradać i zabierają innym ludziom święty spokój.

— Pańska korespondencja nie jest ułożona w porządku alfabetycznym — powiedziałem, kiedy kupiec powrócił z metryką.

Zaczął się gęsto tłumaczyć. Podobało mu się to, że przeglądam jego korespondencję.

Obejrzałem metrykę urodzenia.

— No, na szczęście — rzekłem — pochodzi pan z prawego łóża.

Kupiec uroczyście przysięgał, że w ich rodzinie nie było nigdy nieprawych dzieci.

Zacząłem bębnić palcami po stole i, żeby coś wogóle powiedzieć, zauważyłem:

— Prasa, panie dzieju, to szóste mocarstwo.

Na to odpowiedział, że niestety nie czyta.

Odrzuć poznać to po panu — rzekłem. — No, przyjacielu, niema o czym gadać! A jak ma żona na imię?

Odpowiedział, że jest kawalerem i skulił się cały, jak pies, którego przed chwilą obito.

— Dlaczego pan się nie ożenił dotychczas?

Zaczął długą opowieść o tem, że nie ożenił się poprostu dlatego, iż w związku ze swemi sprawami handlowemi nie ma na to czasu.

— A pan pochodzi z dobrej rodziny? — zapytałem ostro, by napędzić mu strachu.

Odpowiedział, że ród ich był zawsze uczciwy.

— Czy miał pan jakieś sprawy sądowe?

Podniósł dwa palce pod sufit i przy-



siągnął, że nigdy nie miał do czynienia z sądem.

— Dlaczego pan nie myje rąk?

— Bo nie mam czasu na to.

— Żeby pan myje?

— Tak.

— Zażywa pan tabaki?

— Nie, nie zażywam.

Mileżałem przez chwilę, a potem, patrząc mu prosto w oczy, rzekłem dwuznacznie:

— A teraz niech mi pan powie, jak to było z tą kradzieżą? Czy ma pan jakieś podejrzenia? Czy nie natrafił pan na jakiś ślad złodzieja? Kiedy, według pańskiego przypuszczenia, miała miejsce kradzież? Czy pan jest ubezpieczony od kradzieży? A może to pan sam siebie okradł? he?

Ze zdumieniem wybałuszył na mnie oczy i zawołał:

— Przecież to nie mnie okradziono, lecz sąsiada!

Nie możecie sobie państwo wyobrazić, jakimi go obrzucałem wymysłami. Przyrzekłem, że go wsadzę do więzienia, że napiszę o tem w gazecie, że zwrócę na to poważną uwagę, nie wyłączając ewentualności wyłoczenia mu sprawy sądowej.

Ze strasznym przekleństwem na ustach udałem się do sąsiedniego domu, do człowieka, którego naprawdę okradziono, gdzie moje pytania — przedstawiciela szóstego mocarstwa — napędziły biedakowi niemniej strachu, niż poprzedniemu mimowolnemu klientowi mojego zawodu...

II

Zdarzyło się pewnego razu, że w ciągu całego tygodnia nikt nikogo nie zabił i nie okradł. Wyraziłem swoje współczucie redakcji i oświadczyłem, że życie traci dla mnie cały sens, jeżeli lu-

dzie nie strzelają i nie zabijają się nawzajem. Żeby to chociaż jakaś matka we śnie udusiła swe dziecko. A tu nie, absolutnie nie!

Swoje myśli wypowiadałem często na głos w nieznanem mi bliżej towarzystwie. Pewnego razu, pod koniec tygodnia, siedziałem w kawiarni i bębniłem palcami w stół. Pytałem policję telefonicznie, czy się coś nie przydarzyło, ale o niczem nie wiedziała. W szpitalach nikt nie umierał i nie wyskakiwał przez okno. Zaiste, działy się niepojęte cuda.

Zrozpaczony zwróciłem uwagę na jakiegoś obcego pana, który siedział przy sąsiednim stoliku. Był to starszy pan, który, jak się dowiedziałem z późniejszej rozmowy, przyjechał zabawić się do Pragi. Kiedy to usłyszałem zrobiłem taką cierpiącą minę, że biedak się przeląkł.

— Pan przyjechał do Pragi, aby się zabawić? — powiedziałem sceptycznym tonem. — Ale przecież w Pradze, mówię między nami, nie niema. W ciągu całego tygodnia nie było ani jednego zabójstwa, ani jednego napadu rabunkowego, samobójstwa, gwałtu, a pan jedzie do Pragi na zabawę. Przecież tu pana nawet nie okradną. Pamięta pan chyba te czasy, kiedy naprawdę wesoło żyło się na świecie. Wtedy, oblawszy naftą, podpalano całe dzielnice, albo wyrzynano całą rodzinę w pień, popełniano ojco- i matkobójstwa. To było życie! A teraz w Pradze nie! Czasy, kiedy ludzie z poderżniętą szyjką biegali około godziny po placu Ferdynanda, przeszły do legendy. Ot, były piękne czasy! Teraz to pana nawet wściekły pies nie ugryzie, ani nie przygniecie kociół fabryczny. Krótko mówiąc, nuda, panie szanowny! Niema pan pojęcia, jakie życie stało się bezbarwne. Ja na przykład pamiętam, że kiedyś pewna kobieta wsadziła swemu dziecku palik w tylną część ciała. Ot, było radosne wydarzenie!...

— Ja mam tego dość! — wrzasnął starszy pan. — Osiół! idjota! — dorzucił po chwili i napluł na mnie.



Wkrótce odbędzie się nasza sprawa w sądzie...

III

Napisałem raz dla mojej gazety krótką notatkę, tej treści:

„Kradzież futra. Wczoraj do cukierni „Orion“ przy ulicy Hibernijskiej przyszedł starszy, siwy pan, który po wypiciu zamówionej kawy podszedł do wieszadła i wybraawszy piękne futro, należące do kupca Józefa Pollaka z ulicy Żelaznej, chciał niepostrzeżenie zniknąć. Udało się go jednak przytrzymać i odebrać futro. W kieszeni płaszcza znajdował się portfel, zawierający przeszło 200 koron i kilka listów prywatnych. Jak się okazało, złodziejem był stały mieszkaniec miasta Pragi, znany recydywista Wacław Nowak, zamieszkały przy ulicy Pańskiej“.

Nazajutrz po wydrukowaniu tej notatki siedziałem sobie w domu. Wtem ktoś uderzył w drzwi, a po chwili ujrzałem starszego, siwego jegomościa, który wdarłszy się do pokoju z okrzykiem: a, jesteś łotrze! — zaczął walić pałką w krzesło i walił tak długo, aż złamał kij. Potem siadł na drugim krześle i wpijając się we mnie krwawymi oczami, wrzasnął:

— Pan musi to sprostować, o Wacławie Nowaku. Ja nie kradnę żadnych futer!

— Widzę to — rzekłem spokojnie — gdyż tamten Wacław Nowak siedzi przecież w pace.

— Ja jestem przemysłowcem i właścicielem domu, nazywam się również Wacław Nowak, mieszkam akurat również na ulicy Pańskiej i mam siwe włosy

sy. Panie, ja jestem członkiem stowarzyszenia weteranów i właśnie mnie musiał pan zrobić taki kawał! Ja, Wacław Nowak z ulicy Pańskiej kradnę futra! Niech pan spojrzy na to...

Wyciągnął z kieszeni około dwudziestu egzemplarzy gazety, w której była wydrukowana moja notatka. Artykuł był potrójnie podkreślony ołówkiem. Jęgomość wyciągnął z kieszeni rewolwer i jakąś ampulkę z białym proszkiem.

— Tu mam strychninę — powiedział — a tu rewolwer. Jeżeli jutro nie przeczytam sprostowania w pańskiej gazecie, że nie jestem złodziejem, to albo zastrzelę się albo otruje.

Trzasnął drzwiami i wyszedł. Usiadłem do biurka i napisałem sprostowanie następującej treści:

„On nie kradnie futer. W uzupełnieniu naszej notatki pod tytułem „Kradzież futra“ nadmieniamy, że Wacław Nowak z ulicy Pańskiej nie ma nic wspólnego ze znanym złodziejem Wacławem Nowakiem z ulicy Pańskiej w Pradze“.

Uspokoilem się.

Tem niemniej jednak niewinny człowiek zastrzelił się po naszej rozmowie. Zato znów prawdziwy złodziej przysłał mi serdeczny list z podziękowaniem za to, że pomogłem mu zmyć piętno hańby z jego życia, ponieważ wszędzie pokazać może i pokazuje moje sprostowanie o tem, że on, Wacław Nowak z ulicy Pańskiej w Pradze, nie ma nic wspólnego ze znanym złodziejem Wacławem Nowakiem w Pradze z ulicy Pańskiej.

JAR. HASZEK





Obaj mężczyźni patrzyli w milczeniu na siebie. W ciągu kilku minut żaden z nich nie wyrzekł słowa. Wilder stał z zaciśniętymi pięściami, nieruchomy i blady Ensor, rozparty szeroko w fotelu, utkwiał surowy wzrok w naprężonej twarzy Wildera.

— Może pan przyjąć lub odrzucić — rzekł lakonicznie. Więcej pan nie otrzyma!...

Wilder wciąż stał nieruchomo. Ensor wziął z małego stolika, stojącego przy fotelu szklankę z napojem i wypił duszkiem.

— Daję panu 300 funtów. W ciągu dwóch dni opuszcza pan kraj. Oto są moje warunki. Trzysta funtów i wolność albo, jeśli się nie mylę, pięć lat więzienia.

Odstawił szklankę i wyprostował się niecierpliwie.

— Więc co pan wybierasz? — zapytał twardo.

Twarz Wildera zbieleła.

— Daje mi pan trzysta funtów wówczas, kiedy mój wkład do interesu wynosił więcej, niż tyle tysięcy funtów? Pan ma dziwne pojęcia o uczciwości, panie Jerzy Ensor.

— Takie są warunki — z kamicznym spokojem powtórzył Ensor. — I nie mam zamiaru poddawania ich dyskusji, by mnie steroryzować i zmusić do wystąpienia z interesu a zatrzymać dla siebie mój kapitał? — z wściekłością zawołał Wilder.

Ensor wzruszył ramionami.

— Za przestępstwa musi się pokutować — odpowiedział. — Uważam, że postępuję z panem bardzo względnie.

I pan bowiem nie tylko oszukał mnie jako współnika, lecz również naruszył pan kapitały, powierzone firmie.

— I pana dysponowanie pieniędzmi firmy nie było zawsze wolne od zarzutów — szyderczo zauważył Wilder

— Być może — odrzekł lekko Ensor, lecz ja byłem zawsze dość rozsądny, by utrzymać swe postępowanie w granicach dozwolonych przez prawo, podczas kiedy pan był o tyle nierozsądny, by przekroczyć te granice. W tem jest różnica.

— Powiedziałem panu — rzekł zapalczywie Wilder, — że zwrócę co do jednego pensa wszystko, co wziąłem od pana w ciągu ostatniego półrocza.

Ensor nagle wstał.

— Na tę propozycję otrzymał pan już moją odpowiedź. Nie zgadzam się. Nie pozwolę na to, by pan w dalszym ciągu utrzymywał jakiegokolwiek stosunki, pośrednie czy bezpośrednie z firmą. Pan nie ma prawa przestąpić więcej progu biura firmy. Dałem panu do wyboru dwie alternatywy. Musi pan teraz zdecydować, które pan wybiera.

Odwrócił się i podszedł do otwartego okna, spoglądając w mrok nocy. W odległości pięćdziesięciu metrów od domu znajdowała się ruchliwa ulica. Nad ogrodem jednak zawisł zadziwiający spokój.

— Deszcz ustał — rzekł Ensor i odwrócił się. — Mogę dać panu jeszcze tylko pięć minut do namysłu. Ktoś ma przyjść do mnie o dziesiątej.

— Kobieta, przypuszczam — mruknął Wilder.

— Więc dlatego zwolnił pan służ-

bę na dzisiejszy wieczór — powiedział wolno, cedząc słowa.

Gniew błysnął nagle w oczach Ensora.

— Proszę się nie wtrącać do moich prywatnych spraw.

Wilder roześmiał się hałaśliwie.

— To byłoby ciekawe wiedzieć w jakiej sprawie... o takiej porze...

Głos Ensora był surowy i ponury.

— Moje warunki zmieniły się — rzekł po chwili namysłu. — Brzmiało one obecnie: dwieście funtów zamiast

trzystu. Pozostawiam panu minutę czasu dla decyzji.

Z lewej strony stał wielki stół zastawiony pamiątkami orientalnymi. Wilder ścisnął w dłoni rękojeść długiego, zakrzywionego noża.

Usłyszał szmer w chwili kiedy Wilder się poruszył i odwrócił się szybko. Ujrzał żółtawo-czarną twarz Wildera i nóż w jego rękę.

— Szalony — krzyknął przeraźliwie — połóż ten nóż.

Cofnął się, wyciągając naprzód rę-



ce by odeprzeć cios... Było za późno. Okrutny przeszywający ból... Skulił się i z jękiem osunął się na podłogę.

Wilder stał nad nim nieruchomo, patrząc na leżące ciało. Spoglądał tak chwilę, a pierwszym jego uczuciem było zdziwienie spowodu tego co się stało.

Jerzy Ensor nie żył... on, Ryszard Wilder zabił go... jest mordercą...

Potał ręką czoło. Jest mordercą... Schwycił ten wstrętny, zakrzywiony nóż z zamiarem zabicia Ensora i bez litości, z całej siły wbił mu w serce...

Nóż pozostał w ranie, tylko rękojeść sterczała ze skulonej postaci, leżącej na podłodze. Ciemna plama powiększała się coraz bardziej na dywanie.

Cofnął się. Był zadowolony ze swej zimnej krwi. Nie odczuwał ani żalu, ani wyrzutów sumienia spowodu swego czynu. Ta zbrodnia była winą Ensora.

Przez chwilę był nawet dumny ze złożonego dowodu siły i tego, że nie pozwolił się tak łatwo wyzyskać.

Rzucił okiem na zegar, stojący na kominku. Zbliżała się dziesiąta. Brakowało pięciu minut. Wkrótce ma przecież nadejść nieznana kobieta, o której wspominał Ensor.

Rozejrzał się badawczo dookoła. Trzeba przedewszystkiem usunąć dowody swej obecności tutaj — pomyślał. Postawił fotel na zwykłym miejscu i wyrównał poduszki. Nie miał zamiaru popełnienia najmniejszego błędu, jednego z tych, które wydają zbrodniarzy. Nie zostawi tu żadnego śladu po sobie.

Chustką od nosa wytarł uważnie rękojeść noża, nie wyjmując go z rany. Potem wytarł chustką wszystko, czego mógł się dotknąć w czasie wizyty.

Nie, jego w ten sposób nie zdemasukuja. On będzie bardziej ostrożnym niż należy. Żadnej błahostki nie wolno ominąć i przeoczyć. Nie wolno popełnić najmniejszego błędu.

Znów wyjął chustkę i zanim otworzył drzwi, kłamkę owinął chustką. W ciemnym hallu poomacku znalazł drogę do stołu i wziął swój kapelusz.



Drzwi frontowe otworzył niemniej ostrożnie i cicho wyslizgnął się z domu. Sekundę stał nieruchomo, nasłuchując. Nerwy jego były wyczulone aż do bólu.

Zaczął się szybko skradać dokoła muru.

Dom stał w pewnej odległości od ulicy i był doskonale ukryty za drzewami i wysokim ogrodzeniem.

Od jednej bramy do drugiej prowadziła półkolista droga.

Wilder przeszedł dokoła na dziedziniec by dotrzeć do garażu, w którym pozostawił swe auto.

Stojąc przy samochodzie stwierdził raz jeszcze, że nikt, zbliżając się do domu przez jedną z obydwu bram niemógłby go spostrzec. Następnie, idąc w dalszym ciągu dokoła, przedostał się do bardziej jeszcze odległego zakątka za domem, na miejsce, skąd można było obserwować okna biblioteki.

Był to krok dość ryzykowny ale Wilder odważył się go uczynić. Czuł się zupełnie bezpiecznym. Był najzupełniej pewny, że nie przeczył najmniejszego szczegółu.

Nagle ujrzał kobietę, zbliżającą się z przeciwniejszej strony. Widział jak wślizgnęła się do biblioteki przez okno. Spodziewał się zresztą tego. Za-

chowanie Ensora, kiedy spoglądał do ogrodu by sprawdzić czy deszcz pada, zdradziło mu sekret drogi, którą przyjdzie umówiona osoba.

Przesunął się spowrotem ku domowi i cichaczem poszedł drogą.

Wiedział, że najbliższy urząd policji znajduje się niedaleko stąd, zaledwie o kilkanaście kroków za rogiem głównej ulicy. Poszedł i zapytał o dyżurnego inspektora.

Zastał go w chwili posiłku. Inspektor pił kawę i zagryzał sandwichem.

— Czem mogę służyć? — zapytał.

Wilder wywołał na twarz wyraz ogromnego przerażenia.

— Panie inspektorze — powiedział — obawiam się, czy nie zaszło coś złego w domu Jerzego Ensora, tuż obok, za rogiem ulicy. Umówiłem się z nim na godzinę dziesiątą, dzwonię już dość długo. Ale nikt nie odpowiada. Niema również od frontu żadnych świateł i dom wygląda jak opustoszały.

Zamilkł na chwilę.

— Moje nazwisko Wilder. Jestem współnikiem Ensora. Dziś wieczorem mieliśmy ważne sprawy do omówienia. Czy mógłby pan posłać któregoś ze swoich ludzi dla zbadania tej sprawy?

— Pójdę z panem. Znam pana Ensora — powiedział krótko.

Poszli śpiesznie w stronę domu Ensora. Ciemna sylwetka domu rysowała się wyraźnie na jasnym tle nieba. Wszystko dookoła wyglądało dziwnie ponuro i ciemno. Inspektor zadzwonił i po chwili zastukał mocno w drzwi. Nikt nie odpowiadał. Otworzył klappę skrzynki od listów i dość długo nasłuchiwał.

Nie było słyhać najmniejszego szelestu.

— To mi się bardzo niepodoba — mruczał inspektor do siebie. Zadzwonił powtórnie. Znów cisza...

— Co mogło się stać ze służbą? — szepnął Wilder. — Przecież Ensor ma troje służby...

Poszli wolno razem dookoła domu.

— Światło pali się w bibliotece — szepnął Wilder — i okno jest otwarte.

Inspektor ruchem ręki nakazał mu

milczenie i cicho zaczął skradać się ku oknu. Wilder szedł wślad za nim. Zajrzeli do pokoju. Sofa i fotel na którym wpięrow siedział Ensor przesłaniały jego ciało.

Jakaś kobieta stała przy biurku, przerzucając gorączkowo zawartość szuflad. Widać było, że stukanie przy drzwiach frontowych zaniepokoiło ją i spłoszyło, gdyż rozrzuciła papiery na wszystkie strony. Od czasu do czasu przerywała swe zajęcie nasłuchując.

Widzieli ze swego punktu obserwacyjnego jej trwożne spojrzenia rzucające na podłogę, w kierunku czegoś, czego nie mogli dostrzec. Oczywiście były szeroko otwarte z przerażenia.

Kiedy inspektor wraz z Wilderem weszli do pokoju, kobieta krzyknęła i cofnęła się patrząc na nich osłupiałym ze strachu spojrzeniem.

— Czego chcecie — powiedziała słabym głosem.

Zanim inspektor zdążył odpowiedzieć, wyrwał się z ust Wildera krzyk przerażenia.

— Na Boga, niech pan spojrzy.

— Przykląkł na podłogę.

— To Ensor. Zasztyletowany.

Inspektor spojrzał na skuloną postać, leżącą na podłodze a potem spojrzał na bladą twarz kobiety.

— Z tego co widzę — rzekł — przypuszczam, że pani będzie mi potrzebna.

— Proszę stać na miejscu. Ani kroku naprzód — rzucił rozkazującym głosem.

Wilder podniósł oczy.

— Nie żyje — rzekł wolno. Wstał chwilejnie, ledwie trzymał się na nogach. Był jakgdyby oszołomiony. — Biedny — szepnął. — Jakże to straszne. Jak mogła pani na miłość boską, zdobyć się na tak potworny czyn.

Zbliżyła się do nich. W jej oczach widniało szaleństwo.

— Ja tego nie zrobiłam — krzyknęła rozpaczliwie. — Nie tknęłam go nawet.

Wilder wzruszył ramionami:

— Obawiam się, że jest to aż na zbyt widoczne — powiedział krótko.

Inspektor pochylił się nad trupem,

potem wyprostował się i przenikliwym spojrzeniem zmierzył kobietę.

— Muszę panią ostrzec z obowiązku, że wszystko co pani mówi będzie wniesione do protokołu — powiedział obojętnym tonem.

Załamala rozpaczliwie ręce. Głos jej zmienił się w krzyk.

— Ja go nie zabiłam. Przysięgam, że go nie zabiłam.

Inspektor wyjął notatnik.

— Pani rewidowała jego papiery — rzekł ostro — przypuszczam, że temu pani nie zaprzeczy?

Oparła się ręką o poręcz fotela. Drżała jak w febrze. Słabym głosem wyszeptała:

— Szukałam czegoś.

— Czego?

Nie było odpowiedzi.

— Radziłbym pani niczego nie ukrywać — rzekł ostrzegawczo inspektor. — Najlepiej będzie jeżeli pani powie całą prawdę.

Oparła się całym ciężarem o fotel.

— Szukałam listu...

— ... który pani napisała do pana Ensora?

Zdawało się przez chwilę, że kobieta zemdleje, ale wysiłkiem woli oparowała się.

— Tak... napisałam do niego...

Nagle wyprostowała się i ogarnięta przez namiętność, z pasją, z oczami płonącymi dzikim gniewem, zawołała:

— Zmusił mnie, bym przyszła tutaj tej nocy. Była to dla mnie jedyna możliwość wydostania tego listu. Groził, że jeżeli nie przyjdę to odda ten list... komu innemu...

Głos jej załamał się.

— To był zły znak i okrutny człowiek — powiedziała łkając. — Nie obchodziło go wcale to ile nieszczęścia i krzywdy wyrządza innym ludziom. Nie zabiłam go, lecz cieszę się, że nie żyje. Cieszę się...

Spojrzała wyzywająco na ohydnu mężczyznę:

— Możecie mi zrobić co chcecie — wykrzyknęła śmiało — ale przestanę powtarzać, że cieszę się, bo on nie żyje.



Zasłoniła twarz rękami, łkając coraz głośniej.

— Spokojnie — rzekł inspektor łagodnym głosem — lepiejby pani tak nie mówiła.

Zwrócił się do Wildera.

— Pan był przecież jego współnikiem. A co pan myśli o tej sprawie?

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekł — Wilder wolno. — Nie wiedziałem zbyt wiele o jego życiu prywatnym, lecz w żadnym razie niemam powodu do podejrzenia go o takie rzeczy, o jakich wspominała ta pani. Są dla mnie zjawiska zupełnie nieoczekiwane.

Inspektor zamknął notes i schował go do kieszeni.

— Przypuśćmy jednak, że ona mówi prawdę, że istotnie Ensor leżał zabity, gdy przyszła tu do pokoju...

Kobieta odsłoniła twarz i zawołała gorąco:

— Był martwy. Przysięgam panu, że był już zabity.

Inspektor uciszył ją ruchem ręki.

— Przypuśćmy na chwilę, że to jest prawda — powiedział. — Czy pan mógłby w tym wypadku, znając go, wysunąć jakieś przypuszczenie?

Wildera kiwnął przecząco głową.

— Obawiam się, że nie — rzekł z odcieniem żalu w głosie. — Ze względu na obecną tu panią chętnie wolałbym przypuszczać, że to prawda. Lecz cała sprawa wydaje mi się zbyt jasna... Oczywiście, wszystko jest możliwe...

Zrobił przeczący ruch dłonią.

— ...lecz tak, jak sprawa obecnie się przedstawia, nie wydaje mi się, by mogły pozostawać jakieś wątpliwości...

Kobieta bezsilnie opadła na fotel i znów ukryła twarz w dłoniach.

Inspektor spoglądał na nią przez chwilę, potem przystąpił do Wildera.

— Czy pan uważa sprawę za zupełnie jasną? — zapytał przytłumionym głosem.

— Obawiam się, że tak jest — odpowiedział Wilder — żał mi kobiety, lecz wypadek wydaje mi się zbyt jasny...

— Sądzę, że jest dość jasny — po-

wiedział inspektor — a jednak...

Spojrzał ponownie na kobietę.

— Ale jednak nie podoba mi się to wszystko — wyznał szczerze. — Podświadomie czuję, że w tem tkwi coś głębszego... Mam duże doświadczenie w badaniu świadków i wierzę, że ona mówi prawdę... Najgorsze zaś w całej sytuacji jest to, że muszę ją aresztować i oskarżyć o morderstwo.

Na twarzy Wildera odmalował się szczerzy przestrah.

— Nie widzę jakby mógł pan temu zapobiec — potwierdził — gotów jestem służyć panu pomocą pod każdym względem, lecz obawiam się, że przy tak oczywistych dowodach, nie pozostaje panu nic innego, jak aresztować ją natychmiast.

Inspektor poskrobał się ołówkiem w głowę.

— Przypuszczam, że jest tutaj telefon?

— Jest w hallu — odrzekł Wilder.

— Czy zechce pan być tak uprzejmym — rzekł szeptem inspektor — i zadzwonić na posterunek 439 i powiedzieć konstablowi Martinowi, by pobiegł po doktora Singeltona i przyprowadził go tu natychmiast. Nie chcę jej tu zostawiać samej.

— Oczywiście — rzekł Wilder.

Gdy wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą wypłynęło mu na twarz uczucie triumfu i radości.

Musiał stłumić chęć roześmiania się na głos. Szczęście sprzyjało mu we wszystkim. Szczęście, no i oczywiście, własny spryt. Teraz trzeba tylko grać swą rolę wytrwale do końca.

Nie miał ani odrobiny litości dla tej kobiety, ani żadnych wyrzutów sumienia. Przez całe życie był najdoskonalszym egoistą, pozbawionym wszelkich skrupułów. Zawsze był zadowolony jeżeli kara za jego uczynki spadała na innych.

Powtórzył polecenie inspektora i powrócił do pokoju.

Kobieta zemdlła gdy inspektor oświadczył jej, że jest oskarżona o zabójstwo Jerzego Ensora.

Gdy Wilder wszedł, inspektor był

właśnie zajęty cuceniem jej przy pomocy whisky, stojącej na stole. Odżyła przytomność dopiero wtedy, gdy przybył lekarz z konstablem.

— Pozostawimy tu doktora z Martinem i odwiedzimy ją na policję — powiedział inspektor do Wildera. — Będę musiał przeprowadzić dokładne, bardziej szczegółowe badanie. Może pan zechce również pójść z nami, gdyby powstały jakieś kwestje, w których mógłby pan nam pomóc?

— Bardzo chętnie. Idę z panem, — odparł Wilder — mam tu mój samochód, możemy pojechać.

Inspektor ujął kobietę pod ramię i wyprowadził z pokoju. Uległa mu automatycznie, patrząc zniechęconym wzrokiem przed siebie.

Wilder otworzył frontowe drzwi:

— Samochód jest na dziedzińcu — powiedział — Ensor nie lubił, by auta zostawiano od frontu.

Poszli dokoła w kierunku dziedzińca. Kobieta zawisa ciężko na ramieniu inspektora. Musiano ją prawie podnieść by usadowić wewnątrz samochodu. Jakby kompletnie wyczerpana opadła ciężko na siedzenie. Inspektor zamknął za nią drzwiczki i obszedł samochód sprzodu, podczas gdy Wilder wprawiał motor w ruch.

Nagle inspektor wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i schyliwszy się, oświetlił ziemię pod samochodem.

Wilder wyskoczył zza kierownicy i zbliżył się do niego.

— Co pan robi? — zapytał.

Inspektor wyprostował się i schował latarkę do kieszeni. Przenikliwie spojrzał na Wildera.

— Upłynęła już prawie godzina panie Wilder, od chwili, kiedy deszcz przestał padać. Trwał on prawie trzy kwadranse.

— Więc co z tego — powtórzył Wilder.

Inspektor utkwiał wzrok w jego twarzy.

Akurat przed pół godziną przyszedł pan na policję.

— Więc co z tego — powtórzył Wilder.

Inspektor zbliżył się ku niemu.

— Ziemia pod autem jest zupełnie sucha — rzekł wolno — postawiono tu samochód nim deszcz zaczął padać. Zanim więc pan przyszedł na posterunek i oświadczył, że nikt nie słyszy pańskiego dzwonka, był pan w tym domu niemniej, niż pięć kwadransów. Ciekawe byłoby dowiedzieć się, co pan tutaj robił?

Wilder zbladł. Uczuł zawrót głowy. Osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w twarz inspektora. Potworny strach odmalował się na jego obliczu.

Przeoczył błahostkę...

Stał w milczeniu. Inspektor schwytał go za rękę.

— Powiedziałem panu, że wierzę, iż ona mówi prawdę...

Wilder rzucił dzikie przekleństwo... Próbował się wyrwać. Usłyszał krzyk kobiety, gdy inspektor przechylił go wtył i powalił na ziemię.

B. FLEMING





153 - CH samobójców

153-ch młodzieńców postanowiło zakończyć swe życie samobójstwem. Decyzja była ostateczna. Oznajmili o tem w specjalnym liście, zredagowanym w uprzejmych, lecz mocnych słowach.

Wszyscy 153-ej wybrali ten sam rodzaj samobójstwa. Zamierzali odrąbać sobie głowy. Dawało to gwarancję niezwłocznego przejścia do państwa cieniów.

Czarne chmury zbiorowego, niesłychanego samobójstwa zawisły nad miastem Akron i miejscowym uniwersyte-tem, bowiem wszyscy 153-ej młodzieńcy byli studentami uniwersytetu w Akron, stan Ohio, Stany Zjednoczone A. P.

Rektor uniwersytetu, dr. Samuel Johnson, przeczytawszy ich list pełny tragicznego zdecydowania, zbladł, zachwiał się i bezsilnie opadł na fotel. Drżąc z przerażenia, czytał listę podpisów: Martin Barclay, Sidney O'Flaggan, Robert Vanderog, Fryderyk Laye, Teodor D'Overaher, John Flageolet, Sven Zittersen, Mac O'Cypkin, Jack Altausen...

Lecz to są przecież pełni życia chłopcy. Dzieci zamożnych i szanowanych rodziców. Posiadacze wspaniałych mu-skułów. Wielbiciele cricketu i golfa.

Trzeba niezwłocznie coś przedsię-wziąć. Spróbować ratunku. Przekonać.

Woźni uniwersyteccy pobiegli szukać szalonych.

Tymczasem 153-ch studentów prowa-dziło się tak samo, jak zwykle. Tańczyli na wieczorkach i całowali dziewczęta. Grali w golfa i ryczeli jak żrebaki z do-brych kawałów.

Byli to ludzie z żelaznymi nerwami.

Zjawili się posłusznie na wezwanie rektora i dumnie zasiedli w jego wiel-kiej, uroczystej poczekalni. Ze ścian patrzyli na nich surowo dostojni pre-zydenci i siwi luminarze nauki. Stu-denci myśleli o nieskończonych partjach golfa i odstawionych patefonach. Stu-denci siedzieli smutni i zmartwieni.

Rektor wzywał ich do siebie w poje-dynkę.

— Proszę siadać, drogi Bobie! — nie-zwykle łagodnie przywitał rektor płą-czącego się wstydliwie przy drzwiach Roberta Vanderoga. — Proszę cygarko...

— Dziękuję, nie palę — odpowiedział, jękając się, Vanderog. I zapalił zapro-ponowane mu wonne cygaro.

— Bobbie, pomówmy sobie szczerze, tak w cztery oczy. Jak mężczyzna z męż-czyną. Pan nie jest już dzieckiem. Ma

pan przed sobą wspaniałą przyszłość. Pochodzi pan ze znakomitej rodziny. Co skłoniło pana do podpisania tego listu zbiorowego?

Spocony spowodu swej niebывałej misji, rektor pomyślał nagle, że lepiej będzie nawet nie wspominać słowa „samobójstwo“ i ledwie zahaczywszy się, mówił dalej:

— Co pana pchnęło, Bobbie, do tak nieoczekiwanego, że nie powiem — strasznego, postanowienia?

— Prześladowania polityczne, sire. Jestem przekonany, że każdy gentleman zrobiłby na mojem miejscu tak samo.

Nie wierząc własnym uszom, wstrząśnięty rektor ponowił pytanie:

— Prześladowania polityczne? Dziecię moje, pana prześladowają za poglądy polityczne? Pan ma wogóle jakieś poglądy polityczne?

— W tym wypadku, sire, sprawa dotyczy nie moich, lecz cudzych przekonań politycznych — z powagą odpowiedział Bobbie.

— Ależ moje dziecko! — zawołał znowu mister Johnson — proszę pomy-

śleć o strasznych skutkach waszej decyzji. Shańbi pan swoją rodzinę, swą uczelnię, dumną z ciebie uniwersytecką drużynę cricketową. Mój drogi, proszę wycofać swój podpis z listu. Opamiętania!...

— Podpis w domu handlowym „Vanderog i Syn“ jest rzeczą świętą. Niech pan pomyśli, sire, co powie konkurencja? Ale — w tem miejscu dotąd mocny głos młodszego przedstawiciela firmy „Vanderog i Syn“ drgnął — nie wiedziałem, że moja decyzja może ściągnąć hańbę na rodzinę...

— Rozumiem pana — przemówił wzruszony mister Johnson — trudno jest tak odrazu wyrzec się raz powziętego postanowienia i dlatego nie nalegam. Niech pan posiedzi tu trochę w gabinecie i zastanowi się.

I ucieszony z pierwszego, chociaż nie decydującego zwycięstwa, rektor życzliwie poklepał Vanderoga po ramieniu i wezwał Flageoleta.

Następowało powtórzenie rozmowy z Vanderogiem.

— Johnie — niezwykle uprzejmie za-





gał rektor, przyoblekając swe oblicze anielskim uśmiechem. — Proszę siadać i zapalić cygaro!

— Dziękuję. Nie palę! — odpowiedział, jękając się, Flageolet. I zapalił wonne cygaro.

— Johnnie, pomówmy sobie szczerze...

W tej samej chwili w poczekalni rozległ się trzask uderzenia i łomot padającego ciała.

— Zaczęło się! — wyszeptał rektor Johnson zbielewałymi wargami i zamrł. Kiedy odzyskał równowagę, dał kilka susów, szarpnął drzwi i wpadł do poczekalni.

W poczekalni nie pozostało ani śladu z poprzedniej atmosfery godności i ciszy. Grupa wzburzonych studentów dyskutowała gorąco i zawzięcie. Pięciu czy

sześciu chłopców, przysiadłszy w kuczki, usiłowało chustkami do nosa wytrzeć ciemną plamę na podłodze.

Rektor przybiegł do nich i jęknął głośno. Śnieżno-białe chusteczki były powalane, nie pozostawiającemi żadnych wątpliwości, czerwonymi plamami. Cienkie strumienie gęstej, czerwonej cieczy rozlewały się po dziewiczej czystości posadzee.

— Kto? Błagam was, powiedzcie mi, kim był ten nieczczący? — zachrypiał głosem oszalałym ze strachu mister Johnson.

Wszyscy milczeli. Studenci spoglądali po sobie złym, ponurym wzrokiem.

Rektor wytarł obfity pot z czoła i błagalnymi oczami spojrzał na studentów.

I oto jeden z nich, najmłodszy, o czer-

wonych policzkach, przełamał znowę milczenia:

— To Jackie Wemmie, sire — powiedział. — On już więcej nie zrobi tego... To tak niespodzianie... Mówiliśmy mu, że nie należy tego czynić w pana poczekalni... że to pana zmartwi... ale był on w stanie napółprzytomnym.

— Gdzieście podzieli jego ciało? — wystękał mister Johnson i chwycił się za głowę.

— Wynieśli go Taddy D'Overaher i Monty Morganuc. Odniosą do domu i zaraz tu wrócą.

Rektor zrozumiał, że postąpił niewłaściwie. Nie wolno było zostawiać na łasce losu grupy zebranych studentów. I oto w rezultacie Jackie Wemmie jest pierwszą ofiarą.

Nie wolno było tracić ani chwili. Rektor zawołał:

— Dzieci moje. Błagam was, nie popelniajcie samobójstwa, zanim nie zawiadomię szeryfa o tragedji nieszczęsnego Wemmica...

Studenci zakotłowali się, zaszumieli. — Sire! — krzyknął jeden z nich w ślad za mister Johnsonem — czy nie będzie pan łaskaw poinformować nas, w jaki sposób Wemmie popełnił samobójstwo?

— Jak wy się nie wstydzicie — wrzasnął nagle wyprowadzony z równowagi mister Johnson — jak wam nie wstyd odwalać błaznów nad nieostygłymi jeszcze zwłokami Jackie Wemmica...

W poczekalni nastąpiła przez chwilę grobowa cisza. I nagle ogłuszający wybuch śmiechu wstrząsnął poważną poczekalnią rektorską.

— Ależ sire! — powiedział wreszcie, z trudem powstrzymując śmiech, Martin Barclay — tu zaszło jakieś nieporozumienie. O ile nam wiadomo, Jackie jeszcze przed paru minutami był żywy i zdrowy jak byk.

— A wystrzał? — zapytał speszony rektor.

— To upadło krzesło.

— A stuk padającego ciała?

— To Jackie spadł z krzesła. On jest bardzo ciężki, sire...



— Na Boga, przecież na podłodze była kałuża krwi...

— Tę krew, sire, można otrzymać w każdym handlu win po dolarze za butelkę... Co nas dotyczy, sire, to postanowiliśmy umrzeć tylko w jeden sposób: ze starości.

— Jakto ze starości? — ucieszył się rektor. — To znaczy, żeście poniechali zamiaru odrąbywania sobie głowy? A jak z waszym listem zbiorowym? — I rektor, wymachując listem podpisanym przez 153-ch studentów, zwrócił się do zebranych. — Wasze podpisy?

— Nasze — odpowiedzieli niepewnie studenci.

— Bądźcie wobec tego łaskawi przeczytać tekst listu, któryście podpisali.

Mister Johnson wetknął list pierwszemu z brzegu studentowi. W miarę czytania twarz studenta przybierała coraz bardziej podobieństwo do znaku zapytania:

— Nic... nic nie rozumiem!... Tu jest mowa o samobójstwie. A ja podpisałem protest przeciw prześladowaniom politycznym w Europie... Tam, o ile mi wiadomo, w wielu państwach odnoszą się do białych ludzi tak, jak my do murzynów...

— I ja. I ja. I ja...

Wszyscy podpisali protest. Nie znalazł się ani jeden spośród 153-ch, którzyby dał swój podpis pod zobowiązanie się do samobójstwa.

Mister Johnsonowi spadł kamień z serca. To znaczy, że masowe samobójstwo spada z porządku dziennego. Drę-

TYLKO RAKIETA EGRA
osiągniesz prawdziwy sukces sportowy
Obejrzyj, a przekonasz się.
Wyścigowa sprzedaż
C. GRABOWSKI SZPITALNA 7

czyła go teraz dziwaczność tej całej historii z podpisami, która przybrała tak komiczny obrót.

— Myślę, moi przyjaciele — powiedział już znacznie weselszym głosem — że całą tę sprawę można wyjaśnić...

Ale w tej chwili wezwano go do telefonu. Dzwonił redaktor pisma studentckiego:

— No i jak, drogi panie doktorze — rozległ się w telefonie wesół bas redaktora — czy nie wydaje się panu, że przegrał pan zakład?

— Jaki zakład?

— A przypomina pan sobie, żeśmy się sprzeciali ubiegłego tygodnia? Pan

twierdził, że pańscy studenci nie robią nic innego, tylko czytają książki i pisma. Ja zaś, jeżeli pan pamięta, odważyłem się twierdzić, że większa część studentów nie ma innych zainteresowań poza sportem. I ja wygrałem zakład. Na trzeci dzień wysłałem trzystu pańskim wychowankom okólnik z prośbą o podpis na proteście przeciw prześladowaniom politycznym w Europie. I oto 153-ch z trzystu dało swój podpis, żałując trudu przeczytania tekstu listu. A w liście oświadczałem o swym postanowieniu...

— Zakończenia życia przy pomocy odrabiania głowy?... — podchwycił rektor i roześmiał się.

— Otóż tak właśnie!

— Winszuję panu, przyjacielu! — uroczyście oświadczył rektor. — Wygrał pan zakład. Czy pan wie, że ostatnio można nabyć świetne wino po dolarze butelka. Niech pan wpadnie dziś do mnie, wypijemy po kieliszeczku.

Mister Johnson odłożył słuchawkę i zapalił hawanę. Żadnemu ze studentów nie zaproponował cygara...

L. LAGIN



28

węży

— Ile razy mówiłem — gderał kapryśnie mały Jerzyk — aby nie otwierać skrzynki, bo wąż ucieknie. No, i macie państwo: uciekł.

— Nikt nie otwierał — odparła matka, ścierając kurz z klatki, w której siedział szpak.

Głupi ptak, biorąc tę czynność za personalną zniewagę, zerwał się i zaczął się szamotać między prętami.

— Toś ty sam pewnie nie zamknął skrzynki, zawsze jesteś taki niedbały, nieobowiązkowy... Ile razy obiecałeś mi, że będziesz ścierał kurz z klatki. No i co? Popatrz, jak wygląda.

Nad klatką wzbijały się całe tumany kurzu, niby nad wiejską drogą. Młody



zoolog, widząc, że rozmowa przybiera niepomysłny dla niego obrót, zamilkł. Tylko twarz przybrała wyraz obrażonej godności.

Nagle gdzieś niedaleko rozległ się przeciągły krzyk kobiety. Matka z synem podnieśli głowy, nasłuchując. Za chwilę zaczęły trzaskać drzwi, podniósł się gwar rozmów, wreszcie zaczęły dochodzić poszczególne głosy i jęki.

— To on — zawołał Jerzyk i aż wstrzymał dech w piersi. Prędko rzucił się do drzwi.

Cóż się stało? Oto prosto zamieszkała w tym domu pani Adelajda udała się do łazienki. W obu rękach miała mydła, tubki, najróżniejsze słoiki i wszelkie środki, pielęgnujące urodę. Otworzyła więc łokciem drzwi łazienki. Weszła i chciała wszystko złożyć na stoliku. Nagle zobaczyła węża...

Właśnie w łazience siedział wąż i nieco unioślszy się na ogonie, z ciekawością oglądał panią Adelajdę.





Pani Adelajda najpierw straciła władzę w rękach — wszystko powypadało jej na podłogę. Potem wytrzeszczyła ze zdumienia oczy. Wreszcie krzyknęła z przerażenia. I to był właśnie ten krzyk, który usłyszał mały Jerzyk.

Przerażona kobieta wyleciała z łazienki. A już trzaskały w korytarzu drzwi, wyjrzeli ciekawi sąsiedzi, rozległ się gwar głosów.

Jakaś wścibska panienska zajrzała do łazienki i również rzuciła się do ucieczki.

— Żmija! — wołała pani Adelajda. — Żmija! Żmija!

— Gad! — pisała wścibska panienska. — Gad! Gad!

— Ach, znowu te baby się kłócą — odezwał się ktoś. — Ciągłe tylko te kłótnie i wymyślania od żmij i gadów.

Jakiś lokator, przerwawszy golenie, wyszedł na korytarz z namydloną twarzą.

— Trzeba będzie podać do koleżeńskiego sądu.

— Zwarjował pan! — krzyknęła pani Adelajda. — Czyż sąd koleżeński będzie sądził węże?

— Jakie tam znowu węże? Tylko dwie żmije mamy w tym domu: pani i sąsiadka. Ciągłe się wyklócać.

Tymczasem rozległ się nowy krzyk. Wąż, skręcając się błyskawicznie, sunął po korytarzu. Lokator z namydloną twarzą zaniemówił i twarz mu się tak wydłużyła ze zdziwienia i strachu, że aż piana zaczęła kapać na podłogę. Wreszcie, zorjentowawszy się, uciekł prędko do swego pokoju i zamknął się na klucz.

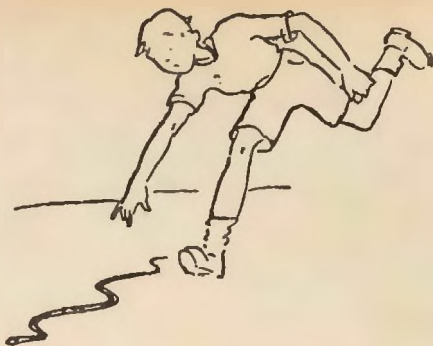
Jakaś kobieta wlaźła na łóżko i wsadziła głowę pod poduszkę, wołając:

— Powiedźcie, że niema mnie w domu. Niech tu nie idzie.

Znalazł się śmiałek, który zamierzył się na węża laską. Ale wąż zasyczał jak syfon wody sodowej. I śmiałek w jednej chwili odrzucił laskę, salwując się ucieczką.

Harmider wszczął się jak na rynku.

W tej chwili zjawił się Jerzyk. Ujrzawszy swego węża, chłopiec zagwizdał, chcąc go przywabić. Ale wystraszony krzykami wąż nie reagował na wszystkie starania Jerzyka. Uganiał się po korytarzu, jakby ścigając ludzi.



— Do telefonu! Pogotowie! Prędzej pogotowie! — jęczała pani Adelajda.

— Co tu ma pogotowie? — odezwał się jakiś śmiałek. — Tu potrzebna straż ogniowa. Z toporami. Z sikawkami.

— Oj nie trzeba! Wąż usłyszysz i rozniewa się — błagał Jerzyk. — Dajcie mu spokój. Wężu kochany, chodź do mnie. Przecież ja ciebie nie ruszam. To oni narobili całego bigosu.

Tymczasem dzwonił już telefon:

— Hallo! Policja! Prędzej, prędzej! Bo wszystkich nas pozabija. Adres? Nasz adres...

A Jerzyk łapał węża. Już, już miał go w rękę. Wtem wąż trafił na otwór do wentylacji w podłodze. Tylko ogon mignął. Wąż uciekł.

— Gdzież ten potwór? — wołali tymczasem lokatorzy. — A czy wszyscy się uratowali? Może też kogo wąż zadusił?

Jerzyk, widząc ucieczkę węża, onie-miał. Ale zorientowawszy się po chwili w sytuacji, rzucił się do drzwi. W jednej chwili zbiegł na niższe piętro. Podszedł do drzwi mieszkania, które znajdowało się akurat pod jego pokojami, i zamartł, nasłuchując.

Upłynęła może minuta i rozległ się krzyk. Chłopiec zadzwonił. Ktoś otworzył i nawet nie patrząc na wchodzącego, pobiegł wgłąb mieszkania. Jerzyk udał się za nim.

Grupa ludzi otaczała jakąś kobietę, leżącą na kanapie.

— Przepraszam — zwrócił się uprzej-

mie Jerzyk — zdaje mi się, że tu wąż przyszedł z wizytą. Mam do niego interes.

A wąż sunął po podłodze. Chwila i znowu ciemny ogon mignął w otworze do wentylacji. Wąż znikł.

Chłopiec rzucił się do drzwi. Schody. Niższe piętro. Krzyki, dzwonek — wreszcie Jerzyk znalazł się w mieszkaniu.

— Co, już tutaj? — rzucił tylko rzeczowym tonem. Nie namysławiając się więcej, zakrył nogą otwór do wentylacji, widniejący w podłodze. Z tej pozycji pokierował obławą. Za chwilę węża złapano.

Wychodząc z wężem, Jerzyk postanowił, że do domu teraz nie pójdzie. Niech się uspokoją: wąż i lokatorzy. Poszedł więc na podwórze, przeczekał i dopiero za jakieś dwie godziny skierował się do mieszkania. Złapanego węża schował pod kurtkę. Chciał niepostrzeżenie wślizgnąć się do swego pokoju. Ale korytarz był pełen ludzi. Przy stole siedział policjant, spisujący protokół.

— Panie, błagam pana. Niech pan trzyma w pogotowiu rewolwer — wołała pani Adelajda. — Wąż może w każdej chwili rzucić się na nas. To potwór. O, takiej długości — to mówiąc, pani Adelajda odmierza ręką ze trzy metry.

— A daj mi pani spokój — odparł zniciерpliwiony policjant — proszę mi

powiedzieć, jaki jest numer mieszkania. Siódmy?

— Siódmy.

— A do nas telefonowano również z mieszkania nr. 5 i nr. 3. Że niby węże. Skąd tyle węży?

— Właśnie, właśnie — zawołała pani Adelajda triumfująco — przecież ja mówiłam. W tym domu znajduje się całe stado.

Jerzy, śmiejąc się w kulak, pobiegł do swego pokoju. Tu już czekał na niego ojciec.

— Sądzę — rzekł surowo do syna, kryjąc mimowolny uśmiech — że zabierzesz stąd węża. Inaczej powiem wszystko. Skąd to stado węży.

Jerzy, poczuwając się do winy, spokorniał.

— Zaraz jutro zaniosę węża do szkoły. Akurat brakuje nam takiego okazu w gabinecie zoologicznym.

Nazajutrz, wywijając książkami w le-

wej ręce, prawą zaś przyciskając pod kurtką węża, Jerzy szedł do szkoły. Po drodze wyminęły go dwie starowinki. Chłopiec usłyszał następującą rozmowę:

— Zna paniusa moją siostrzenicę Annę?

— Annę? Niby którą?

— Co naprzeciwko mnie mieszka, w takim domu z czerwonej cegły.

— A znam, znam... A jakże!

— No to niech sobie paniusia wyobrazi, że wczoraj w ich domu zjawiły się węże.

— Węże? Mój Boże, co to dzisiaj za czasy!

— Tak, tak... Cała kupa, 28 węży. Jedną kobietę w łazience to na śmierć zagryzły. I jeszcze jednego lokatora chciały złapać. Tylko, że się złotym zegarkiem wykupił. — „Puśćcie mnie — powiada — dam wam złoty zegarek“. — I tylko to go uratowało...

W. ARDOW





— Rzecz miała się właśnie tak, jak opowiedziałem — powtórzył Fernet, wylewając osad winny ze swej pękatej szklanki.

Siedzący przy stole, instynktownie zwrócili się w stronę kuchni. Berta niosła pełną maszynkę kawy. Wszyscy za przykładem Ferneta wyciągnęli do niej puste szklanki, aby je pokolei napełniła.

Stali bywalcy Hôtel de France, ci, którzy patrzą na obiad jak na kłopot, którego należy się czempredziej pozbyć, już poszli. Ale przypadkowi goście wciąż jeszcze siedzieli przy stole, popijając czarną kawę z koniakiem i czekając czy nie przydarzy się coś ciekawszego.

Kiedy ucichł głos Ferneta, pan, siedzący w oddalonym zakątku pokoju, hałaśliwie odsunął krzesło i wstał. Człowiek ten był garbusiem. Zamiast zapłacenia za obiad i odejścia, podszedł do Ferneta i powiedział nieskazitelną francuszczyzną:

— Słyszę, młodzieńcze, że państwo tu mówicie o bardzo ciekawej sprawie. Czy nie będzie natręctwem z mojej strony, jeżeli zapytam o co właściwie chodzi?

Fernet podsunął mu krzesło i obcy usiadł.

— O, nie! — powiedział Fernet — mówiliśmy o zabójstwie i samobójstwie. Zabity był włoskim rybakiem i mie-

szkał w Hôtel des Alpes Maritimes, samobójcą jest — muzyk Suworow.

— Aaaa!... — powiedział garbus, patrykając palcami. — Ale dlaczego mówi się tu o zabójstwie i samobójstwie? Dlaczegoż nie o dwu zabójstwach?

— Dlatego, że ta hipoteza została obalona przez szereg dowodów — rzeczowo odpowiedział Fernet — ten człowiek, Suworow cierpiał na newralgię: Włoch-rybak miał zwyczaj grać nocami na harmonji. A Suworow był do tego muzykiem, osobnikiem ogromnie wrażliwym. Włoch grał ohydnie — potwierdza to nawet jego gospodyni. W rezultacie, Suworow z premedytacją zabił pocziwego włościanina za jego muzykę. Potem przyszły wyrzuty sumienia i Suworow popełnił samobójstwo. Kto chce niech się sprzecza. A zresztą, ja byłem jednym z przysięgłych. Więc dobrze wiem co mówię!

— O, nie śmiem o tem wątpić! — zgodził się garbus, uśmiechając się życzliwie. — Ale, o ile pamiętam, w obydwu wypadkach nóż był wbity w plecy aż po samą rękojeść. Jest to dość niezwykły sposób jeśli chodzi o samobójstwo...

Fernet chłodno popatrzył na wybitnie piękną twarz swego rozmówcy.

— Widocznie pan wie o tej sprawie więcej niż przysięgli — powiedział ironicznie.

— Tak, widocznie, skoro tak ważny punkt nie był wzięty pod uwagę.

— Wobec tego proszę, niech pan będzie łaskaw powiedzieć mi, kto zabił Suworowa, skoro pan uważa, że on nie popełnił samobójstwa?

Garbus znów pstryknął palcami.

— To bardzo proste. Suworowa zabił ten sam człowiek, który zamordował Włocha!

— Któż to mógł być?

Garbus, ze złym uśmieszkiem na twarzy, powstał z miejsca.

— Ach, mój przyjacielu, jeżeli ja panu to powiem, to będzie pan wiedział nie mniej niż ja.

Poczem spokojnym krokiem podszedł do właściciela restauracji, zapłacił 35 centów za obiad i nie mówiąc ani słowa wyszedł z pokoju.

Siedzący przy stole milczeli. Każdy patrzył prosto przed siebie, unikając spotkania oczami z sąsiadem. Zdawało się, że coś straszego przeszło między nimi, na co nie trzeba zwracać uwagi.

Wreszcie krępy pan, z purpurową brodawką na twarzy, który siedział po prawej stronie Ferneta, powiedział zmieszany:

— No, czas na mnie.

Wszyscy wstali. Tylko jeden Fernet pozostał przy stole.

— Pan jeszcze nie idzie? — zapytało go.

— Nie mam się gdzie śpieszyć — powiedział niechętnie Fernet.

Prawie godzinę przesiedział sam, ścisnąc dłońmi głowę. Berta zabrała brudne naczynia, wytarła stoły pokryte ceratą i hałaśliwie zaczęła rozkładać nakrycia do następnego posiłku. Fernet wstał i spojrzał na Bertę, zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, kim jest ten garbus, który siedział przy naszym stole, czy on tutaj mieszka, w San-Francisco?

— Nazywa się Flawio Minetti — odpowiedziała dziewczyna, zamykając cukiernicę — więcej nic nie wiem. Ale mówią, że to jest kompletny warjat.

— Aha, to wiele wyjaśnia! — powiedział uśmiechnięty Fernet, odzyskując pewność siebie. — Muszę przyznać,

że ma w sobie coś dziwnego, coś czarującego.

Berta uważnie spojrzała na Ferneta i wzruszyła ramionami.

— Ja zaczynam się trząść, kiedy ten garbus pokazuje się we drzwiach. Ręce mi się trzęsą, kiedy mu podaję. A on pstryka palcami i mówi: „Co trzeba zrobić, panno Berto, żeby się pani uśmiechnęła? Roześmieje się pani jeżeli zatańczę? Gotów jestem oddać połowę życia, by zobaczyć panią uśmiechniętą. Dlaczego pani jest taka smutna?“ Nie, wołałbym, żeby on tu więcej nie przychodził.

— A ja chciałbym go zobaczyć jeszcze raz.

— Przychodzi do nas zawsze we czwartki, kiedy są kury.

— Dziękuję! — powiedział Fernet, wkładając kapelusz.

Tego wieczora Fernet poszedł prosto do domu. Mieszkał w starym domu na wschodnim stoku Telegraph Hill. Miał tam nędzny pokój, ale przez okna widać było zatokę, a pod samymi oknami rosło drzewo pieprzowe, które stwarzało złudzenie wiecznej, chociaż i groteskowej wiosny. A właściciel mieszkania był osobliwą istotą — zawodowy żebrak, który siedział na chodniku ze śmiesznym francuskim pudlem i sprzedawał czerwone i zielone ołówki.

Kiedy Fernet przyszedł, siedział gospodarz przed bramą.

— Jak się masz Politto — rzekł Fernet, stając przed starcem i pstrykając palcami dla przyciągnięcia uwagi pudła, który zwinięty w kłębek leżał u nóg swego pana. — Napawasz się ciepłym wieczorem?

— Myli się pan — rzekł żebrak — poprostu siedzę i wyglądam, może się nadarzy lokator, który wynajmie pokój wychodzący na ulicę.

— To ten pokój jest wolny?

— Wolny — powiedział starzec lakonicznie i niechętnie. Fernet poszedł do swego pokoju.

— Dlaczego mieszkam w takim miejscu? — zapytał sam siebie, patrząc na nagie ściany. — Wszystko tu jest ohyd-

ne i ten żebrak Politto to łotr. Na przyszły tydzień zmienię pokój.

Zbliżył się do okna i otworzył je. Przed nim było drzewo pokurczone w księżycowym świetle. W tej chwili przypominał mu się Flawio Minetti.

— Podobny jest do tego drzewa — powiedział Fernet na głos. — Piękny, nawet w swej brzydocie. Nie, tego drzewa pieprzowego nie zamienilibym na najpiękniejsze drzewa.

Odszedł od okna, zapalił lampę i po-

stawił ją na chwiejny stół z orzechowego drzewa.

— Ach, Andrzeju Fernet! — zakpił z siebie — wiecznie ciągnie ciebie coś niezwykłego. Proś Boga, żeby ta manja nie doprowadziła ciebie do jakiegoś nieszcześcia.

Znów podszedł do okna. Drzewo chyliło się ku ziemi, jakgdyby usiłując coś schować. Powiew wiatru rozsunał jego gałęzie i blask księżyca padł pod pień, jak srebrny motyl przed szerniałą świecą.

Andrzej Fernet drgnął.

— Tak — powtórzył z westchnieniem — między nimi jest podobieństwo. Obydwaj są piękni i odpychający, obydwa ukrywają dziwaczne tajemnice. No cóż, pójdę znów tam w czwartek i napewno go zobaczę. Kto wie, jeżeli będę działał ostrożnie, może on mi powie kto zabił tego dziwaka, muzyka Suworowa.

I zgasił lampę.

W czwartek wieczorem Fernet, wchodząc do restauracji Hôtel de France, od razu zauważył Flawia Minetti. Zdzi-



wił się, kiedy garbus wstał, odsunął krzesło i kiwając palcem zapraszał Ferneta do zajęcia miejsca obok. Fernet zawahał się. W tej chwili Berta przyniosła zupe.

— Boi się pan! — zawołała ironicznie w przejściu.

To skłoniło Ferneta do powzięcia decyzji. Nie wahał się dłużej i usiadł przy Minettim.

— Czekalem na pana — zawołał wesoło garbus, podając mu rzodkiewki.

— Pan czekał na mnie? — powtórzył Fernet. Głos mu drżał, chociaż starał się nadać mu odcień zuchwalstwa.

— Tak. Kobiety nie są jedynymi istotami, obdarzonymi ciekawością. Napije się pan wina?

Fernet nie odmówił, kiedy Minetti napełnił mu szklankę. Zjawili się stali goście restauracji. Minetti odwrócony plecami do Ferneta, zaczął mówić ze swym sąsiadem z lewej strony. Przez cały wieczór nie powiedział do Ferneta ani słowa więcej. Fernet jadł i pił w milczeniu.

— Poco ja tu przyszedłem i dlaczego zostaję? — zapytywał siebie. — Ten człowiek kpi sobie ze mnie. Najpierw wita się jak ze starym przyjacielem. A potem obraża otwarcie w obecności całego towarzystwa. Nawet Berta zauważyła i uśmiecha się. A o śmierci Suworowa wie on napewno nie więcej niż ja.

Jednak przez cały obiad Fernet siedział obok garbusa, a kiedy podano owoce, trącił Minettiego w rękę i zapytał:

— Nie napije się pan ze mną kawy?

— Nie tutaj... później trochę. Pokażę panu lokal, gdzie naprawdę umieją przyrządzać kawę. I są tam stoliki na dwie osoby. To jest bardziej intymne. Fernetowi drgnęło serce i zamarło na chwilę.

— No to chodźmy teraz! — powiedział niecierpliwie.

— Jak pan sobie życzy — rzekł Minetti.

Fernet zapłacił za dwa obiady. Wziął kapelusze.

— Gdzie pan idzie? — zapytała Berta, otwierając drzwi.

Fernet drgnął.

— Jestem w jego ręku — rzekł, wskazując Minettiego.

— Pan chce powiedzieć, że będzie w moich rękach — cicho szepnął garbus.

Fernet słyszał to wyraźnie.

— Czy nie lepiej rozstać się z nim póki nie zapóźno? — błysnęła myśl. Ale po chwili pomyślał wzgardliwie: — Co on mi może zrobić? Rękę ma jak kurze skrzydełko. Ba, głupią, Andrzeju Fernet...

Wyszli na ulicę. W powietrzu czuło się jakiś żar. Nie było owego chłodzącego wiatru, który zazwyczaj wieje od morza. Odcięty księżyc srebrzył dachy, udając, że chowa twarz w cienkiej smudze dymu nad Telegraph Hill.

Garbus biegł truchtem naprzód, a w jego krokach było coś wschodniego. Po przejściu dwóch dzielnic skręcił nagle do jakiejś winiarni. Fernet poszedł za nim. Znaleźli stolik w oddalonym zakątku, zdala od stołów bilardowych. Podszedł kelner. Przyjął zamówienie.

— Proszę się postarać, żeby w kawie było sporo anyżówki i koniaku — powiedział Minetti kelnerowi.

Kelner pogardliwie machnął serwetką i nic nie odpowiedział.

— No, przyjacielu — ciągnął dalej Minetti — zwracając się z ironiczną miną do Ferneta — czym panu mogę służyć?

Fernet zmieszał się.

— Ja... pan... — mruknął. — Doprawdy, niczem. Zapewniam pana...

— Bzdury! — przerwał mu Minetti. — Pan chce wiedzieć kto zabił Suworowa? Ale uprzedzam mój przyjacielu, że to jest straszna rzecz być wtajemniczonym w taką sprawę.

Spojrzał uważnie na Ferneta. Ten drgnął.

— Tem niemniej chciałbym to wiedzieć! — powiedział dobitnie Fernet.

— No, jeśli pan taki stanowczy... ja go zabiłem!

Fernet drgnął, spojrzał znów na małeńkie ręce garbusa i roześmiał się:



— Pan? Czy pan mnie nie uważa przypadkiem za kretyna?

Mówiąc te słowa roześmiał się tak głośno, że gracze bilardowi przerwali grę i obejrżeli się.

— Z czego pan się śmieje? — zapytał garbus, mrużąc oczy.

— Z pana się śmieję! — odpowiedział Fernet.

— Wielka szkoda — powiedział sucho Minetti.

— Dlaczego?

Garbus, pochylając się ku niemu, powiedział dyskretnie:

— Dlatego, że ja zabijam każdego, kto się ze mnie śmieje. To... jest moja słabość...

Kelner przyniósł dwie szklanki kawy.

Postawił obok szklanek na stole, butelkę koniaku i anyżówki.

— Doskonale! — zawołał garbus — właściciel winiarni jest moim przyjacielem. On niema nic przeciwko temu, żebyśmy sobie sami przygotowali truczynę.

Fernet poczuł, że drży. „Do czego to jest podobne?” pomyślał. „Ten jegośmość albo zwarjował, albo żartuje”. Wyciągnął rękę w kierunku butelki z anyżówką.

— Pan pozwoli, już ja naleję — zaproponował Flawio Minetti — panu tak się ręka trzęsie, że pan połowę wyleje na stół.

W głosie garbusa brzmiała nuta litości. Fernet odstawił butelkę na miejsce.

— Niech się pan nie boi! — ciągnął dalej Minetti — tu pana nie zabiję. Właściciel winiarni jest moim przyjacielem, a pozatem...

— Cóż za brednie! — z udręczonym uśmiechem zawołał Fernet — ale muszę się panu przyznać, że na sekundę krew mi zastygła w żyłach.

Minetti nalał koniaku do swojej szklanki.

— A pozatem — zakończył spokojnie — daję każdemu szansę ratunku. To dodaje grze zainteresowania...

Andrzej Fernet spędził niespokojną noc. Leżał na łóżku, patrząc na migające ognie portu. „Nie powinienem pić więcej kawy“, mówił do siebie.

Wreszcie zasnął i śnił mu się dziwny sen. Poruszane nocnym wiatrem drzewo pieprzowe pod jego oknami, poruszało się nagle i długie, zielone gałęzie ożyły, wijąc się jak nielitościwe macki ośmiornicy. Długie, zielone gałęzie ożyły, pełzły po ziemi, pięły się wgórę, wpelzły w otwarte okno Andrzeja Ferneta. Zielone gałęzie pełzły przez wyblakły dywan, przez nogi łóżka, wlażyły na łóżko. Andrzej Fernet bez ruchu czekał. Poczuł, jak dokoła jego nóg owijają się zielone macki, jak chwytają jego ręce, jak drżąc wznoszą się do piersi. Ale nie czynił wysiłku dla uwolnienia się. Poczuwszy na swej twarzy jakiś oddech, odwrócił zlekka głowę i wydało się mu, że zamiast macek - gałęzi pieprzowego drzewa widzi ręce Flawia Minetti. Fernet drgnął i przebudził się. Słońce świeciło w otwarte okno. Fernet szybko zeskoczył z łóżka. Na korytarzu był hałas. Fernet otworzył drzwi. Dwoje ludzi szło po schodach, niosąc kufer. Za nimi szedł żebrak Politto.

— Aha, to pan wynajął pokój, wychodzący na ulicę? — powiedział Fernet.

— Tak — odpowiedział żebrak. — Dziś o szóstej rano wynajął ten pokój garbus.

Fernet ledwie złapał oddech.

— Garbus? Czy nazywa się Flawio Minetti?

— Tak, a skąd się pan dowiedział? Fernet usiłował uśmiechnąć się.

— To mój przyjaciel — powiedział i powrócił do pokoju.

„Trzeba się jednak wyprowadzić“, pomyślał. „Nie podobna mi się ten pokój. Nie rozumiem jak mogłem tak długo tu mieszkać. A ten Minetti czy to warjat, czy tak naigrawa się ze mnie? Nie chciałbym, żeby pomyślał, że ja się go boję. No a ten jego kawał o Suworowie... coś za nonsens... Gdybym mu wierzył, poszedłbym odrazu do... Nie, to jest żart. Ja tu zostanę. Nikt nie ośmieli się powiedzieć, że ten mały obłąkany brzydał nastraszył Andrzeja Ferneta i wygryzł go z pokoju. No i do tego będzie ciekawą rzeczą obserwować jego grę. Jakież to piękny ranek dzisiaj. A to drzewo jak pięknie wygląda w słońcu. Stęskniłbym się za tem drzewem, gdybym się stąd wyprowadził. Ale kawy muszę się wyrzec... Rozstrząsa nerwy. Nie wiem czy to kawa była winna, koniak, wódka anyżowa czy wszystko razem. Oczywiście ten sen, który śnił mi się dzisiaj nie nie znaczy, ale takie sny są przykre. Nienawidzę tego miejsca. Ale teraz stąd nie odejdę. Zobaczę co dalej będzie...“

W ciągu paru dni Fernet nie widział Minetti. W istocie zapomniał o tej całej sprawie, ale któregoś wieczora uciekając przed deszczem, wrócił wcześniej do domu. Przed bramą zatrzymał go nikt inny, tylko garbus we własnej osobie.

— Aha, jest pan nareszcie! — zawołał wesolo Fernet, chociaż serce zastukało silniej. — Dowiedziałem się, że mieszkamy w jednym domu i oczekiwałem pana od tego czasu.

— Byłem zajęty — odpowiedział krótko garbus.

Fernet otworzył drzwi swej sypialni i zaprosił Minetti do wejścia.

— Pan był zajęty? — powiedział zapalając światło — a jakież to zajęcie, jeśli wolno wiedzieć, tak pana absorbuje?

— Pan zna moją specjalność — powiedział Minetti, zdejmując kapelusz.

Fernet uważnie spojrzał na niego. Wydawało mu się, że garbus ma zły wyraz twarzy.

„Jasna sprawa — on jest warjatem“, pomyślał Fernet. A powiedział głośno:

— Tak, chciałem z panem pomówić o tem. Niech pan siądzie, a ja tymczasem przygotuję kawę. Niech pan powie, czy pan się zawsze posługuje nożem, kiedy załatwia porachunki ze swymi...

— Nie — szybko przerwał mu Minetti. — Trucizna działająca powoli ma swój urok. Śledzić powolne gaśnięcie... to daje zadowolenie subtelne. Wydaje się, jakgdyby się widziało jak więdnie zielony liść od podmuchu jesieni. Najpierw chorobliwa bladość, potem żółty kolor, sekną soki życiowe, silny podmuch wiatru, trzepot i wszystko skończone. Wypробowałem prawie wszystkie sposoby, prócz zabójstwa przy pomocy woli. Myślę, że to powinno być zachwycające...

— Zabójstwo przy pomocy woli.. nie rozumiem?

Minetti przeciągnął się i ziewnął.

— Dokonać zabójstwa, nie uciekając się do środków gwałtownych... Jedyna broń — wola.

Fernet roześmiał się i wziął czajnik.

— Mój drogi, to już naprawdę niema sensu. Takiego kawału nie można zrealizować. Widzi pan, znów śmieję się z pana, ale to niema znaczenia.

— Tak, jak pan powiada, to niema znaczenia. Umrzeć pan może tylko jeden raz.

Fernet odrazu przestał się śmiać. Zaczął parzyć kawę. Minetti przeszedł na inny temat.

Jak się okazało pęknięta cukierniczka była pusta. Fernet włożył kapelusz, żeby zejść do sklepu po cukier, ale Minetti zatrzymał go.

— Cukru nam nie trzeba — powiedział. I mówiąc to wyciągnął z kieszeni buteleczkę i położył obok filiżanek. — Pan oczywiście wie co to jest?



— Tabletki sacharyny? — zapytał Fernet, zdejmując kapelusz.

Minetti mruknął coś. Fernet nalał kawy, wyjął łyżki, położył na błękitnym talerzu trzy francuskie bułki. Potem usiadł.

— Można? — powiedział Minetti, biorąc buteleczkę i wydostając z niej małą pigułkę.

Fernet wyciągnął swoją filiżankę, garbus wrzucił pigułkę. Potem zatkał butelkę korkiem i odłożył nabok.

— Pan zapomniał osłodzić swoją kawę! — powiedział Fernet.

— Zapomniałem? — odezwał się obojętnie Minetti. — To nic ważnego. Ja często piję kawę tak bez cukru.

Fernet pochylił się na oparciu krzesła. „Czy to możliwe, żeby...“ Garbus patrzył na niego uśmiechając się sarkastycznie. Fernet przemógł się.

— Niech pan pije kawę — rozkazał komicznie garbus — pan ma skłonności do gorączki.

Fernet usłuchał pokornie. Czuł się jak zwierzę, które wpadło do pułapki. Spróbował skupić myśli. O czym to mówi garbus?

— Wolno działające trucizny? — niedosłyszalnie mruknął Fernet.

— Co pan powiedział? — zapytał Minetti.

— Pan wspominał o wolno działających truciznach. Jak pan się do tego zabiera?

— O, bardzo prosto. W Londynie, na przykład, mieszkalem obok swej ofiary. Zawarliśmy prawdziwą przyjaźń. Zapraszał mnie zawsze do siebie i częstował. Skromne to były poczęstunki: herbata z ciastkiem, albo kawa z babką. Ot, tak jak my w tej chwili. Umarł po upływie sześciu miesięcy. Nie wielka to sztuka otruć człowieka, który je i pije razem, szczególnie jeżeli pije...

Mówiąc te słowa, garbus wziął czajnik i nalał Fernetowi drugą filiżankę. Potem otworzył buteleczkę i wrzucił pigułkę do dymiącego płynu.

— Zdaje się, że już więcej nie będę pić... — zaprotestował Fernet.

— Bzdury. Przecież pan się trzęsie

jak staruszka, zmożona paralizem. Gorąca kawa postawi pana na nogi.

— Nie! — powiedział rozpaczliwie Fernet. — Pijam zawsze tylko jedną filiżankę. Kawa nie pozwala mi spać. Nazajutrz ręce mi się trzęsą i do niczego się nie nadaję. Mój zawód zaś wymaga równowagi.

— A jaki pan ma zawód?

— Jestem kreślarzem, ale mam nadzieję zostania architektem, jeżeli będę długo żył.

— Jeśli będę długo żył. — Przyjacielu, pan zapomniał o tem, że się pan śmiał ze mnie.

Fernet udał obojętność.

— Ale dziwak z pana! — zawołał weselej nagle i zacierając ręce.

W roztargnieniu wziął filiżankę i wypił ją duszkiem. Potem szybko odstawił nabok. Poczul, że pot występuje mu na czoło.

— Widzi pan — powiedział Minetti. — Już kawa robi swoje. Spocił się pan, a to jest dobry znak. Gorący napój czyni cuda!

Rankiem Politto zatrzymał Ferneta, idącego do pracy.

— Co się panu stało? — zawołał zdziwiony żebrak.

— A co jest? — zapytał drżącym głosem Fernet. — Czy ja źle wyglądam? Czy pan zauważył coś niezwykłego, niech pan powie..

— Tak, pańska twarz... Patrzył pan dziś w lustro. Ma pan skórę koloru czerstwej bułki.

Fernet usiłował roześmiać się.

— To drobiazg. Ostatnio piłem zbyt wiele kawy. Trzeba będzie przerwać.

Dzień był piękny. Słońce świeciło, wiatr wiał od morza. Zatoka wyglądała jak błękitny paw, w podniesionemi złotemi piórami. Wesołe i uśmiechnięte było oblicze miasta. Ale Fernet nie był w najlepszym nastroju. Noc miał okropną. Spał, ale widział potworne sny. Sny o Minettim, o jego londyńskim sąsiedzie, o pustej cukiernicze. Nie zdążył jej napełnić a Minetti pocichu wysypywał cukier. Fernet wsuwał cukier do kieszeni, ale kiedy chciał wydostać ka-

wałek, wysypywały się na podłogę pigułki. Powiedział wówczas:

— Pójdę do londyńskiego sąsiada Minnetiego. Może on będzie miał cukier.

Przeszedł wiele mil i wreszcie zapukał do nieznanomych drzwi. Na stukanie wyszedł człowiek, zawinięty po oczy w czarny płaszcz.

— Czy pan jest londyńskim sąsiadem Flawia Minnetiego? — śmiało zapytał Fernet.

Postać ukloniła się. Fernet wyjął spod pachy nadłamaną cukiernicę.

— Czy można prosić pana o odrobinę cukru? — zapytał grzecznie.

Człowiek w czarnem uklonił się i znikł. Wkrótce wrócił. Fernet wziął z jego rąk cukiernicę. Wydała mu się bardzo lekka. Wtedy popatrzył na to co miał w ręku. Cukiernica znikła. Na dłoni leżała mała buteleczka. Wyjął korek, posypały się okrągłe pigułki. Szybko spojrzał na londyńskiego sąsiada Minnetiego, przez płaszcz dojrzał ohydny uśmiech. Fernet krzyknął i rzucił buteleczkę w twarz swemu dręczycielowi. Londyński sąsiad Minnetiego zrzucił płaszcz i Andrzej Fernet zobaczył samego siebie. Wkrótce potem przebudził się. Był już ranek.

Kiedy cesał się, drżała mu ręka tak silnie, że wypuścił szczotkę. Przy porannej kawie przelał mleko na wyblakły dywan przed biurkiem. Skończyło się tem, że nie zjadł śniadania tylko wypił kilka szklanek zimnej wody.

Po uwadze Politta, zaczął drzeć jak w gorączce, zatrzymując się przed każdym lustrem w drzwiach fryzjerni i oglądając twarz. Politto powiedział prawdę: kolor twarzy miał chorobliwie biały, prawie śmiertelny. Rzecz jasna, że w takim stanie nie sposób pracować. Drżące palce ledwie mogły utrzymać ołówek, a kreślenie wymagało uwagi i skupienia. Postanowił iść do biblioteki i poczytać trochę. Ale książki z dziedziny architektury, które go zawsze zajmowały, nie mogły dziś przyciągnąć jego uwagi. Wreszcie, zrozpaczony, podszedł do bibliotekarki:

— Czy mógłbym dostać jakąś książkę o truciznach?

Kobieta spojrzała na niego chłodno, obojętnie:

— Historyczne czy lekarskie — zapytała ostro, stawiając tajemnicze cyfry na książkach, które leżały przed nią.

— I jedne i drugie.

Przejrzała katalog i sporządziła spis rzeczy.

Cały dzień czytał książki, które mu poleciła bibliotekarka. Nawet nie poszedł na drugie śniadanie. Z ostrem, chorobliwym zainteresowaniem czytał utwory historyczne i romantyczne, a kiedy przeszedł do dzieł medycznych, serce zabiło szybciej i powstrzymując oddech, zaczął studjować przyczyny i skutki. Pod wieczór znał wszystkie trucizny, które były na liście. Poznał działanie strychniny, kwasu siarkowego i innych. Poznał trucizny, które niszczą tkanki, działając jak narkotyk, wywołując podniecenie. Zaznajomił się z trującymi grzybami, końskim kasztanem, ziołami trującymi. Pokrótkę, przeczytał i zapamiętał wszystko, co było napisane na ten temat. Zdawało mu się, że świat jest przesycony truciznami. Nie można być niczego pewnym. Nawet przepiękne kwiaty nie zasługują na zaufanie.

Był tak wstrząśnięty tem co przeczytał, że przy obiedzie prawie nie jadł. Poszedł do podrzędnego pensjonatu, gdzie nikt go nie znał, zjadł dwie łyżki zupy i ryżu z pomidorami, potem zapłacił za obiad i wyszedł, włócząc się przed brzydkimi wystawami na Kerneestreet. Kiedy szedł w kierunku Marketstreet, ktoś pociągnął go za rękaw płaszcza. Obejrzał się. Minetti uśmiechał się wesoło.

— Gdzie pan goni? — zapytał garbus — pił już pan kawkę? Myślę, że...

W Fernecie zamarło serce. Odważył się jednak powiedzieć stanowczym tonem.

— Nie piję więcej kawy! Sam pan widzi jaki mam wygląd dzisiaj. I prawie nic nie jadłem przez to...

— Bzdury! — zawołał Minetti. — Filizanka kawy nie zaszkodzi.

Fernet cofnął się w przestרחu.

— Nie — oponował energicznie —

nie, powiadam panu, że nie będę więcej pił kawy. I pan nie...

Minetti roześmiał się pogardliwie i dobroduszenie.

— Co się z panem dzieje? — powiedział przeciągle, mrużąc oczy. — Czy pan się boi?

Wtedy Fernet spojrzał na jego ręczki, wielkości kurzego skrzydełka i śmiało odpowiedział:

— Boję się? Czego? Mówiłem panu wczoraj wieczorem, że mój zawód wymaga równowagi a dziś nie byłem w stanie pracować.

Minetti, zmieniwszy ton, dobroduszenie zgodził się z nim.

— Tak, może pan ma rację. Ale muszę panu powiedzieć, że nie jest pan szczególnie towarzyski. Być może kawa, którą pan pił była źle przyrządzona. Powinien pan się czegoś napić. Rzeczywiście źle pan wygląda. Szklaneczka koniaku? Nie? Aha, wiem, kawa po turecku, pił pan już kiedy?

— Nie — bezsilnie odpowiedział Fernet, dziwiąc się dlaczego nie potrafił skłaniać.

— W takim razie — powiedział garbus tonem nie dopuszczającym sprzeciwu — pójdziemy na 3-cią Avenue i napijemy się kawy po turecku. Znam pewną grecką kawiarenkę, gdzie dają taką turecką kawę, że sam sułtanby się skusił. Widział pan kiedy jak się taką kawę przyrządza? Trzeba zemleć kawę na drobny proszek — małą łyżeczka na filiżankę i tyleż cukru. Zaparzają kawę, kładą cukier i pozwalają zakipieć. Powstaje nadzwyczajny napój. Tak, pana czeka przyjęcie...

„Jeżeli gotują razem z cukrem“, pomyślał Fernet „to znaczy, że w żadnym razie tych pigułek nie będzie“.

— Tak, wspaniały napój! — powtórzył Minetti — i absolutnie nieszkodliwy.

Z temi słowami wziął Ferneta pod rękę i lekko, ale zdecydowanie poprowadził go do greckiej kawiarni. Fernet poczuł nagle swoją bezsilność, niemożliwość wymyślenia jakiegokolwiek sprzeciwu lub argumentu.

Kelnerka przyjęła zamówienie. Mia-

ła wyraźny typ Irlandki i piegi na nosie. Nie harmonizowała z otoczeniem i Fernet zauważył, że do tej całej imprezy odnosi się wysoce pogardliwie.

— Dwie kawy... niezbyt mocne — powtórzył Minetti. — A nicma pan ochoty na coś słodkiego? Sprzedają tu przysmaki, palce lizać. Możemy zamówić rachatlukum, albo ciastka, posypane pudrem cukrowym. Tu wszystko jest bardzo smaczne.

Fernet tylko wzruszył ramionami. Minetti zamówił rachatlukum. Dziewczyna wytarła mokry marmurowy blat stołu i poszła do lady z kawą.

— Więc nie mógł pan dziś pracować? — zaczął łagodnie Minetti. — Jakże więc pan spędził czas?

— Byłem w bibliotece, czytałem.

— Coś zajmującego, francuską powieść czy...

— Książki o truciznach! — jadowicie i triumfalnie zarazem zawołał Fernet. — Wiem więcej niż wiedziałem wczoraj.

— Bardzo to smutne — wymruczał Minetti. — Niewiedza jest bardziej niebezpieczna niż to zwykło się myśleć. Oczywiście ludzie mówią coś innego, ale proszę nie zapominać, że wiedza jest źródłem wszelkiego zła. A temat wybrał pan ciekawy. Kiedy się poznamy bliżej opowiem panu wszystko co wiem na ten temat. Trucizna — to subtelna rzecz. Trucizna jest wszędzie, w powietrzu, którym oddychamy, w wodzie, którą pijemy i w pokarmach, które jemy. Trucizna jest i błyskawiczna i powolna, zadaje ból i ogłusza, jest widoczna a jednocześnie niedostępna dla analizy. Przypomina piękną kobietę, albo wielką radość, albo nawet miłość...

Fernet spojrzał bacznie na Minettiego. Garbus siedział na brzeźku krzesła, jego oczy błyszczały jak dwa ciemne stawy przyciągające światło południowego słońca. Fernet drgnął i obrzucił spojrzeniem pokój. Jacyś smagli ludzie pili kawę lub sączyli czerwony napój — wodę sodową z wiśniowym sokiem. Przy sąsiednim stoliku sześciu grało w karty, robiąc znaki na grafitowej tabliczce. Byli i tacy co grali

w tric-trac, stukając kośćcami, gestykulując rozwiązłe i wesoło przedrzeźniając swoich przeciwników.

Dziewczyna przyniosła filiżanki z dymiącą kawą i miękki rachatlukum, barwy cytrynowej, w którym tkwiły dwa maleńkie srebrne wideleczyki. Postawiła tacę na stole. Minetti cheiwie wyciągnął rękę po kawę, a Fernet rozsiadłszy się wygodnie na krześle pozwolił, by kelnerka postawiła kawę przed nim. W tej samej chwili stolik zachwiał się i gorący napój wylał się na blat stołu. Fernet skoczył, unikając strumienia gorącego płynu, dziewczyna krzyknęła bezradnie. Minetti roześmiał się dziwnym śmiechem.

— To moja wina! — zawołał garbus. — Co za niedorzeczność. Niechże pan siądzie. Niech pani da panu moją filiżankę a mnie przyniesie drugą.

— Przepraszam — zaprotestował Fernet — ja się na to nie zgadzam.

Usiłował oddać filiżankę Minettiemu. Ale garbus nie chciał słyszeć o tem. Fernet pokrył się potem ze strachu.

„Wrzucił truciznę“, pomyślał w panicznym lęku. „Dlaczego tak się domaga, bym wypił właśnie tę filiżankę? I stół potrącił umyślnie. A jego filiżanka, dlaczego nie wylała się?... Nie, on się przygotował do tego, to był podstęp...“

— Niechże pan pije, przyjacielu — wesoło powiedział Minetti — trzeba pić póki kawa nie ostygła. Proszę nie czekać na mnie. Zaraz mi podadzą. Proszę skosztować rachatlukum, to wspaniała rzecz!

— Nie jestem głodny — ponuro odpowiedział Fernet.

— Tak. To co z tego? Rachatlukum i kawa nie są dla głodnych. Naprawdę, pan nawet nie wyobraża sobie jaki pan jest śmieszny.

Minetti roześmiał się głośno.

— On myśli, że ja się boję — mruknął Fernet.

I brawurując podniósł filiżankę do ust. Minetti przestał się śmiać. Szatański śmiech ustąpił miejsca szerokiemu uśmiechowi. Dziewczyna przyniosła kawę garbusowi. Pił z zadowoleniem ma-

lemi łykami, nie spuszczać oczu z bladej twarzy Ferneta.

„No i co — myślał Fernet — jeszcze jedna zatruta kawa nie zabije mnie. Nie wygląda na to, żeby on chciał mnie wykończyć od razu. On marzy o subtelnej rozkoszy, chce obserwować długą agonję“.

I przypominały mu się słowa Minettiiego: „Wydaje się jakgdyby się widziało jak więdnie zielony liść od podmuchu jesieni. Najpierw chorobliwa bladeść, potem kolor żółty, silny podmuch wiatru, trzepotanie...“

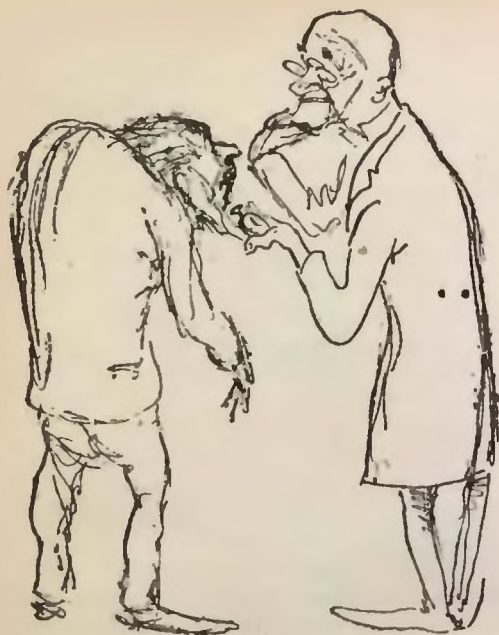
Z wyzywającym uśmiechem wypił haustem kawę.

„On myśli, że jestem w jego mocy. Ale Andrzej Fernet nie jest taki głupi. Jutro przeprowadzam się“.

Kiedy Minetti wypił swoją kawę, poszli do domu. Fernet poczuł nagle mdłości. Kiedy oprzytomniał miał niepewny krok i zawrót głowy. Minetti wydawał się wcieleniem dobroci.

— Niech pan pozwoli, pomogę panu położyć się — mówił z uporem — pan ma napewno silne ciśnienie krwi. Zaraz zagrzeję wody i dam gorącego ginu.

Fernet czuł się tak słabo, że nie mógł zaprotestować. Minetti zapalił maszynkę gazową, nalał wody do czajnika i poszedł do swego pokoju po gin. Fernet rozebrał się i położył do łóżka. Minetti wrócił. Fernet leżał z półzamkniętymi oczami w gorączce. Wreszcie woda zagotowała się i garbus podał Fernetowi dużą szklankę wody z ginem, w szklance pływały kawałki pomarańczy i cytryny. To było takie dobre, że Fernet zapomniał o swych obawach. Ale po wypiciu poczuł swą bezsilność, nie mógł podnieść ręki. Leżał na plecach i patrzył na sufit. Starał się przypomnieć sobie coś z ksiżek przeczytanych w ciągu dnia. Jak nazywa się trucizna, która paraliżuje? Ale nie miał siły ruszyć pamięcią. Czuł, że prawie nie może się poruszyć, nie może zmienić pozycji na łóżku. Minetti przygotował drugą porcję ginu. Fernet nie mógł wziąć szklanki. Minetti pochylił się nad nim łagodnie, uśmiechnięty życzliwie i Fernet poczuł, jak ciepły napój sączy mu



się w usta. Stracił przytomność... W nocy budził się dwukrotnie. Otwierał oczy i widział Minettiego, siedzącego przy oknie i patrzącego na drzewo pie-przowe.

„Tak, jest podobieństwo między nimi — błysnęła myśl. — Obydwaj są piękni i ohydni zarazem. Obydwaj ukrywają dziwne tajemnice. Niema rady, muszę stąd jutro uciekać“.

Ranikiem Minetti stał przy jego łóżku.

— Posłałem po doktora — powiedział. Ale głos jego przychodził z oddali.

Doktor przyszedł o jedenastej. Małeńki, pomarszczony, chudy staruszek z poważną miną.

„To szarlatan — pomyślał Fernet — on nic nie umie“.

— A! — powiedział doktor z chytłym wyrazem twarzy, przytykając palec do spiczastego nosa. — Nasz przyjaciel jest nerwowo wyczerpany. Trzeba będzie wezwać pielęgniarkę.

— Pielęgniarkę! — z oburzeniem zawołał Minetti — a pan mnie za kogo uważa? Czy pan myśli, że...

— No, zobaczymy, zobaczymy — zacierając ręce odpowiedział lekarz — ale choremu trzeba gotować wyszukane potrawy i...

Minetti oblażał się zrozumiale.

— Proszę nazwać potrawę, której ja nie potrafiłbym zrobić.

— No, a sos z bitych jajek? Chory musi dziś jeść lekkostrawne rzeczy.

— Sos jajeczny? Niema nic prostszego! — zawołał grubas i patryknął palcami.

Minetti wyszedł razem z lekarzem i wkrótce wrócił. Przyniósł jaja, butelkę z ekstraktem waniliowym i cukier. Fernet leżał bezsilny i spoglądał jak Minetti uwiija się.

Kiedy sos był gotów, Minetti nalał go rondelka i postawił do miski z wodą dla wystudzenia.

W południe podał Fernetowi błękitną filiżankę z sosem. Wyglądało to apetycznie, ale Fernet pokiwał głową:

— Nie jestem głodny — skłamał.

Garbus postawił kubek na krześle, tak żeby Fernet miał sos w połu widzenia. Z pokoju nie wychodził. Siedział przy oknie i czytał grubą książkę. Pod wieczór Fernet zapytał go:

— Czem jest pan tak pochłonięty?

Minetti z uśmiechem spojrzał na swego pacjenta.

— Czytam książkę o truciznach. Okazuje się, że wszystko zapomniałem. Mojej wiedzy ledwie starczy dla otrucia polnej myszki.

Wstał i podszedł do łóżka.

— A może pan teraz wypije sos?

Fernet chciwie popatrzył na filiżankę.

— Nie, powiem panu prawdę, ja sosu do ust nie wezmę!

Minetti wzruszył ramionami.

— Ale wypiłbym szklanę wody.

Garbus nalał wody z kranu. Fernet śledził za jego ruchami jak szpieg.

„Wody potajemnie nie potrafi zatruc — myślał Fernet. — Dobrze, że widzę każdy jego ruch. Bardzo mi się nie podoba śmierć z pragnienia“.

Po pewnym czasie Minetti zabrał filiżankę i wylał do zlewu. Fernet obserwował to przez przymrużone powieki.



„Jakich mi jeszcze trzeba dowodów? — rozmyślał. — Jeżeli sos nie byłby zatruty, to garbus wypilby sam. Jutro muszę uciekać“.

Ale nazajutrz osłabł bardziej jeszcze i kiedy przyszedł lekarz, Minetti powiedział, odpowiadając na pytanie:

— Przyrządziłem wczoraj kapitalny sos. Chory wszystko wypił... Buljon z ostryg z mlekiem? Postaram się, żeby go miał na południe.

— Boże miłościwy — mruknął Fernet — dlaczego on kłamie? Trzeba w jakikolwiek sposób zwrócić uwagę doktora na to, co tu się dzieje. Nic nie będę jadł. Nic! To szczęście, że mogę się napić odrobinę wody.

Na dwunastą buljon z ostryg był gotowy. Ale Fernet odmówił wypicia.

— Ostrygi mi szkodzą — powiedział.

Jak i wczoraj Minetti wzruszył tylko ramionami i postawił apetyczną potrawę na krześle przed łóżkiem. Zapach był kuszący i Fernet przeżywał męki Tantala, czuł, że szaleje. Wieczorem Minetti wylał buljon. A kiedy przyszedł lekarz, garbus powiedział:

— Zjadł kwartę buljonu, a ostryg było sporo, ręczę za to. Jak pan myśli, kurczak smażony na oliwie czy to nie będzie dla niego zbyt ciężka potrawa?

Fernet jęknął.

— To straszne... straszne... — wzdychał. — Umrę jak szeszur, który zdycha z głodu i nie może dostać się do sera. Ach, gdybym tylko powrócił do sił. Kiedy przestanie działać trucizna, którą on mi dał... Siedzi i znów czyta tę grubą książkę... Może obmyśla nowy sposób zatrucia wody, chociaż widzę każdy jego ruch, kiedy nalewa... Trucizna, wszędzie trucizna... Wystarczy ukłucie igłą, by ją wprowadzić do krwi. POCO JA CZYTAŁEM O TEM? Kurak smażony na oliwie... jaka męka...

Kurczę smażone na oliwie udało się po smakowitym zapachu, który unosił się nad skwierzącą patelnią. Minetti uwił się, zajmował się kuchnią. Delikatne mięso trzeba było notrzeć czosnkiem, posolić i popieprzyć. Cwierć butelki oliwy trzeba było wylać na patel-

nię. Kiedy kurczę usmażyło się w sam raz, Minetti triumfalnie podał je Fernetowi. Ten zgrzytnął zębami i odwrócił się. Nie miał siły wymyśleć jakiegoś wykrętu. Jak zwykle Minetti postawił jadło na krześle.

Dwie godziny męczył się Fernet, patrząc na smakowity kasek, ale kiedy dały się słyszeć kroki lekarza, garbus wyrzucił kurczę.

— Jaki on ma apetyt? — powtórzył Minetti pytanie lekarza. — Lepszego nie można sobie wyobrazić. Rano pożarł kuraka, jakby to było jajko na miękko. Mówiąc prosto, jest głodny przez cały czas.

— Świetnie! — poweselał lekarz — dobry znak. Przy chorobach nerwowych to często się zdarza. Pan jest świetną pielęgniarką, mój drogi, i pod koniec tygodnia, jeśli pan nadal będzie tak samo dbał o jego żołądek, to pacjent będzie zdrow jak byk.

W tej chwili gospodarz wywołał Minettiego na schody. Fernet usiłował podnieść się. Doktor pochylił się nad nim.

— Ten garbus — zaczął Fernet nerwowo — chce mnie otruć. Już kilka razy częstował mnie zatrutymi napojami. Oto dlaczego jestem w takim położeniu. Jestem bezsilny. I on kłamie, mówiąc, że ja jem. Trzy dni nie do ust nie wziąłem.

Doktor pomógł choremu położyć się spowrotem.

— Chce pana otruć, przyjacielu? A dlaczego?

— Bo śmiałem się z niego. Doktorze, na miłość boską, proszę nie mu nie mówić, bo...

Doktor poklepał Fernetą w rękę i poprawił kołdrę.

Tymczasem wrócił Minetti. Doktor i Minetti zaczęli szeptać w kąciку. Minetti roześmiał się i uderzył się w czoło.

Fernet słyszał, jak doktor na odchodem powiedział:

— Proszę robić swoje, a on uwolni się od swoich idej. Przy chorobach nerwowych to się często zdarza. Przyjdę nie wcześniej niż na przyszły tydzień, jeśli nie...



Fernet głośno jęknął.

— Jutro muszę wyjechać, jutro muszę wyjechać — powiedział.

Pod koniec tygodnia zapach jedzenia nie kusił już Ferneta. Minetti przestał gotować. A kiedy nalewał wody z kranu, Fernet musiał wyćzacać wzrok, żeby patrzeć na garbusa.

„Kiedy oczy odmówią mi posłuszeństwa — słabo myślał Fernet — albo skonam z pragnienia albo zaryzykuję“.

Kiedy wreszcie zjawił się lekarz, Fernet zamknął oczy i udał, że śpi.

— Zdaje się, że on schudł — zauważył doktor, jakgdyby uczynił zadziwiające odkrycie.

— Prawdę powiedziawszy, stracił apetyt — odpowiedział garbus — dawałem mu mleko i jaja, ale...

— Trzeba się uzbroić w cierpliwość — powiedział lekarz — lekarstwa mu nie pomogą. Spokój i dobre odżywianie. Może popościć, i to nie zaszkodzi. Wogóle wszyscy za dużo jedzą.

Fernet otworzył oczy i roześmiał się tak, że nawet Minetti drgnął. Doktor miał wygląd obrażonego.

— No, on jest w pańskich rękach — uroczyście powiedział garbusowi stary szarlatan. — Niech pan czyni swoje...

Fernet znów roześmiał się.

— On ma histerję — oświadczył le-

karz tonem mędrca. — Przy chorobie nerwowej to często się zdarza.

I uroczyście poszedł.

„Obraziłem go — pomyślał Fernet. — Teraz mnie razem wykończą...“

Nastaly dni czarującej słabości. Większą część dnia Fernet leżał, upajając się srebrno-błękitnymi wizjami. Zdawało się, przechodzą lata. Budował błyszczące miasta, odbierał honory królewskie, oddawał się słodyczom miłości. Bywały przebliski świadomości — wrywała się w nie obecność potwornego Minettiego i wizyty szarlatana lekarza. Ale przebliski te przypominały sekundy przebudzenia o świcie, kiedy człowiek cieszy się przez sen, wiedząc, że jego spokój nieprędko będzie przerwany. W takich minutach Fernet poruszał się słabo i myślał:

„Jutro muszę wyjechać“.

Jeszcze sekunda — i znów nużąca radość na myśl o tem, że jutro jest czemś nieosiągalnem i dalekiem, że nigdy nie nastanie.

Niekiedy garbus coraz bardziej upodabniał się do nielitościwego dozorczy: zechce tylko, a otworzą się drzwi i werwą się wepnięcia przegody. Powoli idea ta wzmacniała się i rozwijała. Wzrok Ferneta osłabł i obecność Minettiego odgadywał jedynie słuchem.

„On czemś dzwoni — myślał Fernet — to powinny być klucze. Szuka klucza, żeby mnie wypuścić na wolność. Oto czyści zamek... Znów zamknął drzwi... Jeszcze mnie teraz nie wypuszczają... Jestem ptakiem w klatce, a tam za oknem rośnie drzewo pieprzowe. Teraz powinno błyszczeć w słońcu. No i cóż, niech zamyka drzwi. Okno przecież zawsze jest otwarte. Kiedy nadejdzie godzina, wylecę przez okno i zostawię go tu — samego. Wtedy dowiemy się, kto wygrał rozgrywkę!”

I znów podkładały się do niego srebrno-błękitne wizje i tylko na krótko wchodziły między nie krótkie wizyty lekarza.

— To on mnie tutaj trzyma — mówił Fernet do siebie. — Gdyby go nie było, mógłbym stąd wyfrunąć nazawsze. Ale co mi tam, i on wkrótce straci nade mną władzę.

Pewnego razu podszedł do jego łóżka nieznany człowiek. Był również Minetti i stary szarlatan — doktor. Nieznajomy odłonił kołdrę, wysłuchał jak bije serce Ferneta i zrobił wszystko, co się robi w takich wypadkach. Potem znów przykrył go kołdrą i pokiwał głową. Mówił cicho, ale Fernet wyraźnie go słyszał.

— Za późno... Trzeba mnie było we-

zwać wcześniej... On chce umrzeć... Nie ma na to rady.

— Tak, tak, przy nerwowych chorobach to się często zdarza.

— Robiłem wszystko, co mogłem: dawałem mu jeść i pić. Dałem mu nawet dietę. Ale okazało się, że nie mu nie pomagało.

— Tak — powiedział nieznajomy — to jest psychiczne... On sobie wmówił, że... nie nie można zrobić z człowiekiem, który...

Fernet zamknął oczy.

„Człowiek. Oni myślą, że jestem człowiekiem. Jaka głupota. Czyż nie widzą, że ja jestem ptakiem? Poszli. On znów zamyka drzwi... słyszę, jak dzwonią klucze... Niech zamyka, jeżeli ma z tego przyjemność. Okno jest otwarte...”

Kroki gości ucichły w dali. Andrzej Fernet usłyszał chichot i uderzenie pięści w stół. W pokoju rozległ się triumfujący głos Flawiusza Minetti, jakgdyby werwał się tu gorący wiatr pustyni: — bez broni... tylko wolą własną...

Fernet odwrócił się twarzą do ściany.

„Teraz on śmieje się ze mnie. Niech się śmieje, póki może... Okno przecież jest otwarte... Jutro będę wolny... a on... nie, on nie umie fruwać!... on ma złamane skrzydła... Okno jest otwarte, Andrzeju Fernet...”

CH. C. DOBIE





Tajemnica udanego bridge'a na letnisku

Kuchenka Eines i lampa z palnikiem Rusticus przenoszą miejski komfort na letnisko



Przyszli admirałowie floty amerykańskiej

Corocznie w czerwcu odbywają się w amerykańskiej akademii marynarskiej w Annapolis wielkie uroczystości szkolne, połączone z rewją młodych adeptów floty Stanów Zjednoczonych A. P. Oto jak wyglądają przyszli admirałowie!

Amerykańskie nadzieje olimpijskie

Dwie znane amerykańskie pływaczki, Eleanor Holm-Jarret (na lewo) i Elizabeth Kompa, trenują przed Olimpiadą. Eleanor Holm-Jarret jest rekordzistką w pływaniu na 200 jardów i wielką nadzieją Amerykan na berlińskiej Olimpiadzie.





Pancerny nosorożec, złowiony w dżungli malajskiej
(Fot. RKO Radio)

Na Kasprowym Wierchu

Emocjonujący fragment polskiej komedji sensacyjnej „Tajemnica panny Brinx“





Pies Błysk, doskonały aktor, w jednym z amerykańskich filmów

(Fot. RKO Radio)

Murzyn czy murzynka?

Jedna ze scen polskiej komedji sensacyjnej „Tajemnica panny Brinx“





Cesarz – wygnaniec przy lunchu

Unja Ligi Narodów w Londynie zaprosiła cesarza Abisynji na bankiet, na który przybyli liczni zwolennicy Ligi Narodów i przyjaciele negusa, brakło natomiast... przedstawicieli obcych mocarstw. Haile Selassie ochładza się po gorących dniach Abisynji lodami londyńskimi.

Pozdrowienie pięści na tle wieży Eifla

W r. 1937 odbędzie się w Paryżu wielka wystawa międzynarodowa. Roboty przy budowie gmachów wystawowych raźnie postępowały naprzód aż do wybuchu strajku robotników budowlanych. Czy Francuzi będą mogli dotrzymać terminu otwarcia wystawy?





Święto dzieci
londyńskich

Wybór Królowej
Wiosny

Uczeń krawiecki

(Bajka azerbejdżańska)

Żył sobie krawiec, a miał czeladnika. Krawiec ten szył strój dla króla i powinien był nazajutrz wykończyć robotę.

I oto nocą, krawiec razem ze swym uczniem, zasiadł do szycia stroju królewskiego. Upłynęło trochę czasu, uczeń nie wytrzymał i zasnął. Krawiec zobaczył to i szybko go zbudził, mówiąc, że jeżeli do dnia jutrzejszego nie uszyją królewskiego stroju to król ukarze ich strasznymi karami.

Kiedy się czeladnik obudził, powiedział swemu majstrowi, że miał niezwykły sen i, że ogromnie żałuje przebudzenia. Krawiec usilnie prosił ucznia o opowiedzenie mu tego snu, ale im bardziej błagał czeladnika, tem więcej zawzięty chłopak odpowiadał, że nie opowie, póki sen się nie urzeczywistni.

Przypadkowo wędrował król tej nocy po mieście. I oto przyszedł do sklepu krawca. Zauważywszy światło, zajrzał przez szparę we drzwiach, i zobaczył, że krawiec razem z czeladnikiem zajęty jest pracą. Król stał tak chwilę za drzwiami i podsłuchiwał wszystko, co oni mówili do siebie.

W ciągu nocy strój był wykończony. Nazajutrz rano krawiec wręczył paczkę czeladnikowi i kazał odnieść do króla. Ale ile razy król zapytał czeladnika o ów niezwykły sen, tyle razy uczeń krawiecki z uporem odpowiadał, że nie opowie, zanim się sen nie urzeczywistni.

Król rozgniewany rozkazał chłopca zamknąć w ciemnicy. I nie bacząc na to, że król codziennie wzywał chłopca przed swe oblicze i rozkazywał mu opowiedzieć sen, krawczyk, przysięgając na koronę królewską, odpowiadał, że nie opowie swego snu tak długo, póki się sen nie ziści. I za każdym razem król rozgniewany odsyłał chłopca do ciemnicy.

Po pewnym czasie krawczyk zdołał wydłubać w kącie celi spory otwór. Ce-

la zaś wychodziła na podwórze królewskiej córki. Chłopiec wyszedł przez zrobiony otwór, wszedł do pokoju księżniczki i zobaczył, że śpi na sofie. Obok księżniczki, przy wezgłowiu i nogach siedziały służebne, które również spały. Obrzuciwszy spojrzeniem komnatę, krawczyk zauważył, że na stole znajduje się naczynie ze smacznym pilawem.

Krawczyk siadł, najadł się dosyta pilawu i tą samą drogą powrócił do swego więzienia. Kiedy córka królewska przebudziła się i zobaczyła, że po pilawie niema śladu, pomyślała, że zjadły go służebne i rozgniewała się na nie. Dziewczęta przysięgały i zapewniały swą panią, że o niczem nie wiedzą. W ciągu dwóch-trzech nocy powtarzało się to samo. Wreszcie księżniczka postanowiła wyjaśnić sprawę i schwytać złodzieja.

I oto nocą ujrzała, jak się otwierają drzwi i młodzieniec, wszedłszy potajemnie do pokoju, bierze naczynie z pilawem, zjada do ostatniej okruszyny, a następnie myje ręce i wyciera je. Kiedy chciał już odejść, księżniczka wybiegła z ukrycia i, schwyciwszy go za rękę zapytała kim jest i skąd przybywa.

Nie było rady — chłopiec opowiedział księżniczce wszystko co mu się przydarzyło. Córka królewska zlitowała się nad nim i puściła go.

Tymczasem, król sąsiedniego państwa przysłał do miasta swego człowieka, który z rozkazu swego pana, narysował na placu miejskim wielki krąg i zapytał króla tego miasta, co ten rysunek oznacza. Zaznaczył przy tem, że jeśli król nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie, to niech będzie przygotowany do wojny ze swym sąsiadem.

Król pobiegł do swojej córki, opowiedział o tem wszystkim i prosił o radę jak ma postąpić. Córka na to odpo-

KAWA ARABIA



MARZAŁKOWSKA 105
NOWY ŚWIAT 15

wiedziała, że w tym niezwykłym wypadku mogą jedynie pomóc więźniowie zamknięci w ciemnicach, ponieważ nie mają zajęcia i oddają się stale rozmyślaniom.

Kiedy król poszedł, księżniczka wezwała do siebie ucznia krawieckiego, opowiedziała mu swą rozmowę z królem i rzekła:

— Jutro mój ojciec wezwie cię do siebie i zapyta co ma oznaczać narysowany krąg. Zgódź się udzielić mu odpowiedzi pod warunkiem, że odda ci swą córkę za żonę. Ojciec zgodzi się na to, a wtedy odpowiesz mu, że krąg oznacza, jakoby cały świat należał do sąsiedniego króla. Następnie weźmiesz i podzielisz krąg na dwie części, a będzie to znaczyło, że połowa świata należy do tego króla, a druga do sąsiada, ponieważ obydwa są królami. Wtedy ludzie sąsiedniego króla przyjdą i położą tam łuk, to będzie oznaczało, że między królami nastąpi spór. Ty zaś przyniesiesz i położysz tam szablę, co będzie oznaczało, że król nie boi się wojny. W odpowiedzi na to, oni wysypią tam garść prosa. To znaczy, że sąsiedni król ma tyle wojska, ile ziarenek

jest w tej garści prosa. Wówczas ty przyniesiesz koguta, co będzie znaczyło, że nasze wojsko pożre ich wojsko, jak kogut ziarenka prosa.

Powiedziawszy to, królowna pozwoliła mu odejść.

Nazajutrz król wezwał do siebie krawczyka i zażądał, by mu opowiedział swój sen, ale chłopiec uparł się i nie opowiedział. Wtedy król zapytał go, co oznacza krąg narysowany na placu? Na to chłopiec powiedział, że odpowie na to pytanie, jeżeli król wyda za niego swą córkę. Król obiecał spełnić to życzenie.

Wtedy uczeń krawiecki wyjaśnił znaczenie kręgu, a potem poszedł i rozdzielił koło na dwie części. Wówczas ludzie sąsiedniego króla przynieśli i położyli tam łuk. W odpowiedzi na to chłopiec położył tam szablę. Tamei nasypali na ziemię garść prosa. Wówczas młodzieniec przyniósł koguta.

W ten sposób uczeń krawiecki swoim sprytem zwyciężył przeciwnika.

Minęło trochę czasu i oto sąsiedni król przysłał do tego króla trzy konie, z zapytaniem, który jest najstarszy, a który najmłodszy.

Znów król pobiegł do swej córki i zapytał ją, jak ma odpowiedzieć. I znów córka odpowiedziała mu tak samo, jak za pierwszym razem. Kiedy zaś król poszedł, wezwała do siebie młodzieńca, opowiedziała mu o nowym wydarzeniu i rzekła, by za wyjaśnienie zażądał jej ręki. Jeżeli król zgodzi się, niechaj on postawi wszystkie trzy konie do stajni i wpuści do nich kobyłę. Następnie winien wziąć kobyłę za uddę i wyprowadzić ze stajni. Ten koń, który pierwszy wyjdzie ze stajni, będzie najstarszy, ten, który wyjdzie za nim — jest średni, ten zaś, który wyjdzie ostatni, jest najmłodszy.

Nazajutrz król wezwał do siebie ucznia krawieckiego i przede wszystkim zażądał, by mu opowiedział swój sen. I znów chłopiec zaczął się w milczeniu. Wtedy król zażądał od niego, by określił wiek wszystkich trzech koni. Kiedy król przyrzekł oddać mu córkę za żonę, chłopiec postąpił tak, jak mu wskazała

córka królewska i odniósł zwycięstwo nad posłem sąsiedniego króla.

Przeszedł pewien czas i oto sąsiedni król przysłał temu królowi zwykłą pałkę, z żądaniem, by określono, gdzie jest jej podstawa, a gdzie wierzchołek.

Król udał się znów do córki i zapytał ją, co ma zrobić. Córka odpowiedziała mu znów, jak za pierwszym razem. Kiedy król poszedł, księżniczka wezwała do siebie krawczyka, opowiedziała mu o tem, co się przydarzyło i powiedziała, że tym razem musi on zażądać od króla, by odbył się ich ślub. Kiedy zaś król da im swe błogosławieństwo, niech krawczyk wrzuci pałkę do wody. Wtedy z wody wyjdzie najpierw wierzchołek pałki, a potem podstawa. Powiedziałwszy to, pozwoliła mu odejść.

Nazajutrz król znów wezwał chłopca, żądając, by mu opowiedział swój sen. A ten znów mu odpowiedział, jak za pierwszym razem. Wtedy król kazał mu określić, gdzie jest podstawa pałki, a gdzie wierzchołek. Uczeń krawiecki odpowiedział mu, że spełni jego prośbę, ale niechaj przedtem król pobłogosławi związek ze swą córką.

Cóż było robić: król dał im ślub! Wtedy chłopiec, tak jak mu kazała królewska córka, rzucił pałkę do wody i pokazał w ten sposób, gdzie jest wierzchołek, a gdzie podstawa. W ten sposób i tym razem odniósł zwycięstwo nad posłem sąsiedniego króla.

Minęło kilka miesięcy i oto król otrzymał od sąsiedniego króla list, zapraszający młodego zięcia królewskiego w gości. Młodzieniec opowiedział to córce królewskiej, a ta napisała list do córki sąsiedniego króla.

Napisała jej, że cześć jednej dziewczyny muszą bronić wszystkie inne dziewczyny i prosiła ją, by nie dopuściła do tego, ażeby jej ojciec wyrządził jakąkolwiek krzywdę jej mężowi. Młodzieniec wziął list i wyruszył do sąsiedniego króla. Tam przedewszystkiem oddał list jego córce.

Sąsiedni król postanowił zabić młodzieńca. Dał mu termin czterdziestodniowy, ażeby uszył płaszcz ze skały, a jeżeli nie uszyje — każe odciąć głowę.

pl. trzech
krzyżył
arob
kowsi
wybór
TO
jakość
marszałkowska 92

Młodzieniec poszedł do córki królewskiej i opowiedział o wszystkim. Ta rzekła mu na to, żeby się nie bał, a kiedy termin upłynie i król zapyta go, dlaczego nie uszył płaszcza, niechaj odpowie, że nie dano mu nici. Kiedy zaś król rozgniewa się na służbę za to, że nie dała młodzieńcowi nici, niechaj powie, że zwykłymi niemi czyć nie można, że potrzebne są nici zrobione z piasku. Kiedy zaś król zdziwi się, jak można zrobić nici z piasku, młodzieniec winien odpowiedzieć mu: „A czy można uszyć ze skały płaszcz?“ Na to król nie potrafi znaleźć odpowiedzi.

I oto uczeń krawiecki zrobił tak, jak kazała mu córka królewska. I w ten sposób pozyskał sobie padyszacha.

Królowi młodzieniec spodobał się do tego stopnia, że wydał on za niego swą córkę. I młodzieniec, wzięwszy ze sobą córkę sąsiedniego króla, powrócił do swej ojczyzny. Po roku obydwie żony urodziły mu synów.

Pewnego razu młodzieniec usiadł, trzymając jednego syna na jednym kolanie, a drugiego na drugim. Z prawej zaś strony siedziała jedna żona, z lewej — druga.

W tej chwili wszedł do niego król. Chłopiec chciał powstać z miejsca, ale król położył mu rękę na głowie i nie pozwolił wstać.

Śmiejąc się, młodzieniec powiedział: — Teraz mogę opowiedzieć swój sen. Widziałem we śnie, że siedzę, a na prawym i lewym kolanie mam gwiazdę. W tym samym czasie zobaczyłem, że księżyc zesunął się na moją głowę...

Potem uczeń krawiecki żył sobie w radości i spokoju wraz ze swoją rodziną przez całe życie...

Przygoda

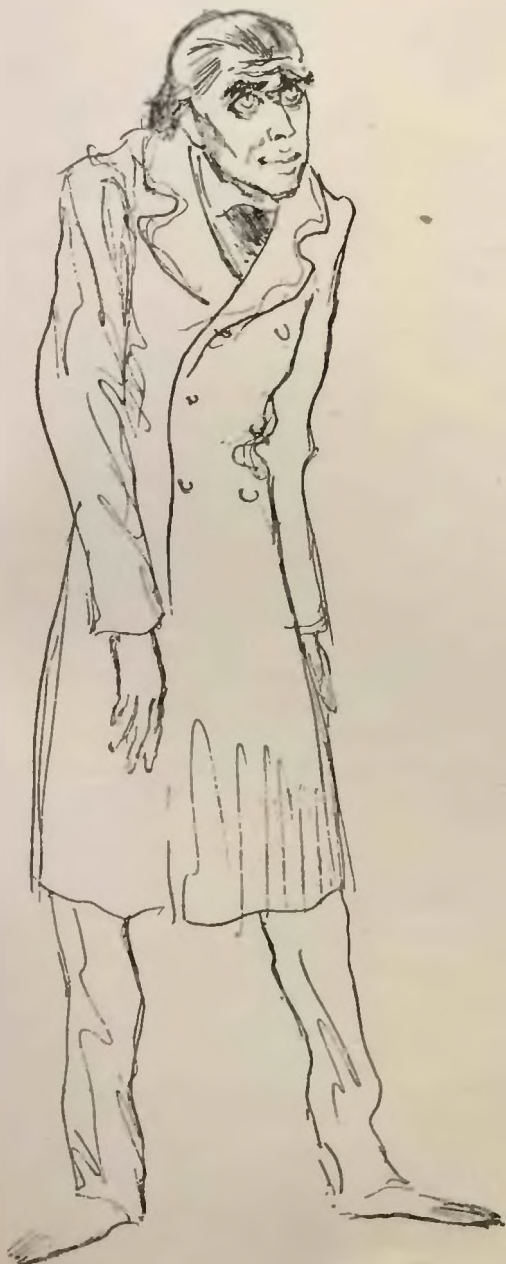
Mieszkając w końcu roku 1827 w stanie Wirginia w okolicy Charlottesville, poznałem przypadkiem pana Augusta Bedloe. Był to młody, zajmujący pod każdym względem człowiek, toteż obudził moje głębokie zainteresowanie i ciekawość. Postać jego była dla mnie zagadką, tak pod względem fizycznym, jak i duchowym. Nie udało mi się zasięgnąć żadnych informacji o jego rodzinie. Nie wiedziałem, skąd przybył. Nawet jego wiek — chociaż mówię o nim, jako o młodym człowieku — częstokroć wprowadzał mnie w osłupienie. Naturalnie, mister Bedloe wydawał się młody — częstokroć nawet sam wspominał o swej młodości, — ale bywały chwile, kiedy bez wahania dałbym mu ze sto lat. Największe jednak wrażenie wywierała na mnie jego powierzchowność. Był niezwykle wysoki i chudy, mocno zgarbiony, o długich i wyschniętych kończynach, miał szerokie, niskie czoło i zdawało się, że jest pozbawiony kropli krwi. Usta miał duże i ruchliwe, zęby zaś wyjątkowo nierówne, choć całkiem zdrowe: takich dziwnych zębów nie widziałem, póki żyję. Uśmiech jego, zresztą, bynajmniej nie był niemiły, choć zawsze jednaki: malował się w nim smutek — niezmienna, odwieczna żalność. Oczy miał wielkie i okrągłe, jak kot. Żrenice kurczyły mu się i rozszerzały zgodnie z nasileniem światła, jak to widzimy u przedstawicieli rodziny kotów. W chwilach podniecenia oczy te płonęły niezwykłym blaskiem i zdawało się, że nie odbijają światła, lecz że z nich właśnie biją wewnętrzne płomienie, jak od słońca czy świecy; oczy te jednak w zwykłym stanie były tak matowe, mętne i martwe, że przypominały żrenice dawno pogrzebanych zwłok.

Zdaje się, że te cechy zewnętrzne wywierały nawet na nim samym przykre

wrażenie, ponieważ często napomykał o nich w czasie rozmowy, jakby szukając wyjaśnienia czy usprawiedliwienia, co na początku naszej znajomości przygnębiało mnie niewymownie. Jednakże wkrótce przyzwyczailem się do tego i uczucie przykrości rozproszyło się powoli. Zdawało się, jakby chciał dać do zrozumienia nie wprost, lecz przez napomknienie, że nie zawsze tak wyglądał — że tylko szereg ataków newralgii zmienił jego powierzchowność, wyróżniającą się niegdyś niezwykłą urodą. W ciągu długich lat korzystał z porad niejakiego doktora Templetona, starego, siedemdziesięcioletniego gentlemana, którego poznał w Saratoga i dzięki któremu doznał, albo też zdawało mu się że doznał wielkiej ulgi w cierpieniu. Skutkiem tego Bedloe, będąc człowiekiem bogatym, zawarł z doktorem umowę, mocą której doktor Templeton za hojnym rocznym wynagrodzeniem zobowiązał się poświęcić swój czas i swą wiedzę lekarską wyłącznie pieczy nad jego zdrowiem.

W młodości swej doktor Templeton wiele podróżował, przebywał dłuższy czas w Paryżu i stał się zwolennikiem Mesmera. Potrafił wyłącznie mesmerycznymi zabiegami przynieść ulgę w okrutnych cierpieniach pacjenta, co, całkiem naturalnie, wywołało ze strony tego ostatniego pewne zaufanie do poglądów, na jakich opierały się te zabiegi. Doktor jednakże, jak wszyscy entuzjaści, dążył do całkowitego zyskania sobie swego ucznia i osiągnął zgodę chorego na przeprowadzenie z nim całego szeregu doświadczeń. Częste powtarzanie ich doprowadziło do rezultatu, który w naszych czasach stracił już urok nowości, tak dalece, że nikogo nie dziwi, ale wówczas, w czasach, o których piszę, był w Ameryce niezwykle rzadkiem zjawiskiem. Chcę

przez to powiedzieć, że między doktorem Templetonem a panem Bedloe powstał stopniowo całkiem określony i silny „rapport“, czy też łączność magnetyczna. Nie zamierzam bynajmniej utrzymywać, że ten „rapport“ przekraczał granice zwykłej siły hipnotycznej, siła ta jednak osiągnęła wysoką inten-



sywność. Pierwsza próba wywołania snu magnetycznego nie powiodła się. Piąta czy szósta dała już pewien rezultat, ale nie całkowity. Dopiero dwunasta stała się całkowitym sukcesem, poczem wola pacjenta szybko podporządkowała się woli lekarza tak, że w okresie, kiedy poznałem ich obu, sen następował prawie natychmiast zgodnie z wolą magnetyzera, choćby nawet pacjent nie wiedział nic o jego obecności. Dopiero teraz w roku 1845, kiedy temu podobne cuda odbywają się omal-że nie codziennie i to tysiącami, zdecydowałem się zakomunikować o tym, pozornie niemożliwym, fakcie.

Mister Bedloe był ogromnie wrażliwy, łatwo tracił równowagę, entuzjazmował się. Posiadał bogatą i żywą wyobraźnię, która bez wątpienia stawiała się coraz bujniejsza pod wpływem morfiny. Morfinę pochłaniał w olbrzymich ilościach — poprostu nie mógł się bez niej obejść. Zwykle zażywał dużą dawkę natychmiast po śniadaniu, albo, raczej, po szklance kawy, nie bowiem więcej rano nie jadł, poczem udawał się sam, albo w towarzystwie psa, na włóczęgę po pustynnych wzgórzach, ciągnących się na południowy zachód od Charlottesville

i znanych pod szumnym mianem Gór Skalistych.

Pewnego chmurnego, ciepłego i szarego dnia w końcu listopada, w dziwnym interregnum pór roku, zwanem indyjskim latem, mister Bedloe udał się, jak zwykle, na wędrówkę wśród wzgórz. Minął dzień, a mister Bedloe nie wracał. O godzinie ósmej wieczorem, wystraszeni nie na żarty jego długą nieobecnością, zamierzaliśmy już udać się na poszukiwania, kiedy niespodzianie zjawił się przed nami w całkiem zwykłym stanie i w pogodniejszym niż zwykle nastroju. Opowiedział nam prze-dziwne rzeczy o swej przechadzce.

— Przypominacie sobie zapewne — mówił mister Bedloe — że wyruszyłem z Charlottesville około godziny dziesiątej rano. Udałem się wprost w góry i w parę minut po dziesiątej zagłębiłem się w szczelinę skalną, całkiem mi dotychczas nieznaną. Z wielkiem zainteresowaniem szedłem krętą drogą rozpadliny. Krajobrazu, otaczającego mnie, nie można było nazwać wspaniałym, ja jednak lubię takie krajobrazy właśnie dzięki niewypowiedzianemu beznadziejnemu ich charakterowi. Pustka wydawała mi się całkiem dziewicza. Zdawało mi się, że nigdy jeszcze stopa ludzka nie dotknęła tych zielonych łączek i szarych skał. Wejście w głąb szczeliny jest tak dalece niedostrzegalne, chyba przypadkiem, że byłem bodajże chyba pierwszym i jedynym wędrowcem, który wtargnął do tego zakątka.

Gęsta, całkiem jedyna w swym rodzaju mgła czy dym, właściwa indyjskiemu latu, nawisła nad wszystkiem i wzmagła bez wątpienia dziwne wrażenie, wywierane na mnie przez otoczenie. Mgła była tak gęsta, że na dwanaście jardów nie widziałem nic przed sobą. Szedłem dróżką niesłychanie krętą, słońca zaś wcale nie było widać, tak że w krótkim czasie straciłem orjentację. Tymczasem morfina zaczęła, jak zwykle, działać, nadając specyficzny czar otaczającemu mnie światu. W szeleście liści, w zieleni traw, w kształcie koni-czyny, w brzęczeniu pszczoły, w blasku rosy, w szemraniu wiatru, w słabym za-

pachu lasu wyczuwałem wesoły i czarowny rój poetycznych i oderwanych myśli.

Pochłonięty temi rozważaniami szedłem naprzód przez kilka godzin, aż do chwili, gdy mgła stała się tak gęsta, że musiałem omackiem odnajdywać drogę. I wtedy opanował mnie niewypowiedziany niepokój — jakby nerwowe drżenie i niepewność — obawiałem się stąpnąć, myśląc, że lada chwila runę w przepaść. Przyszły mi na myśl dziwne opowieści o Górach Skalistych o dzikim i okrutnym plemieniu, żyjącem w ich pieczarach i na dnie przepaści. Tysiące niewyraźnych majaków osaczyło i dręczyło mnie — majaków tem bardziej dręczących, im mniej były wyraźne. Nagle do uszu mych doszedł war-kot bębnow.

Oczywiście, zdumienie moje nie miało granic. Bęben w tych górach był czemś całkiem niezwykłym. Nie zdziwiłbym się bardziej, usłyszawszy dźwięk trąby archanioła. Zdumienie moje miało jednakże jeszcze bardziej wzrosnąć. Rozległ się bowiem drżący dźwięk, przypominający brzęk kluczy, i po krótkiej chwili — jakiś smagły, półnagi człowiek z krzykiem przebiegł tuż obok mnie. Przemknął tak blisko, że poczułem na twarzy jego gorący oddech. Człowiek ten trzymał w ręku jakiś dziwny instrument, składający się z wiązki stalowych kółek, któremi potrzasał w biegu. Ledwie nieznanomy zdołał zniknąć we mgle, kiedy z rozwartą paszczą i płonącymi oczami przemknął w pogoni za nim jakiś ogromny zwierz. Nie mogłem być omylić się co do jego gatunku. To była hiena.

Widok tego potwora raczej rozprószył, niż wzmógł moje przerażenie — zrozumiałem bowiem, że bredzę w malignie, toteż postanowiłem wysiłkiem woli odzyskać przytomność. Śmiało i odważnie poszedłem naprzód, przecierałem oczy, wołałem głośno, szczypałem się w ręce. Natrafiłem na źródelko, omyłem sobie twarz, ręce i szyję — woda oświeciła mnie i, widocznie, rozwiła dziwne uczucie, jakie mnie dotychczas gnębiło. Podniosłem się z nad strumie-



nia jako całkiem nowy, według mnie, człowiek i pewnym krokiem szedłem dalej nieznaną mi dróżką.

Wreszcie, zmęczony marszem i ciężką, duszną atmosferą, usiadłem pod drzewem. Przede mną błysnął słaby promień słońca i cień liści drzewa, pod którym siedziałem, słaby, ale wyraźny, zarysował się na trawie. W ciągu kilku minut ze zdumieniem przyglądałem się temu cieniowi. Kształt jego wstrząsnął mną. Drzewo to było palma.

W strasliwym wzburzeniu zerwałem się na nogi — nie mogłem przecie teraz uspakajać się tem, że bredzę w malignie. Widziałem — zdawałem sobie sprawę z faktu, że całkowicie panuję nad memi uczuciami, te zaś uczucia otwierały w mej duszy cały świat nowych i dziwnych wrażeń. Nagle upaść stał się nie do zniesienia. Powietrze przepojone było dziwną wonią. Niewyraźny, lecz i niemilkący szept, przypominający szmer pełnej wody, lecz powolnej rzeki, dobiegał mych uszu, łącząc się z głuchym dudnieniem mnóstwa głosów ludzkich.

Kiedy przysłuchiwałem się, oślepiały ze zdumienia, silny poryw wiatru roz-

darł zasłone mgły, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Znajdowałem się u stóp wysokiej góry i patrzałem na rozpościerającą się przede mną obszerną równinę, przeciętą wstęgą potężnej rzeki. Na brzegu rzeki rozłożyło się wschodnie miasto, jakby żywcem wyjęte z Tysiąca i Jednej Nocy, lecz jeszcze bodaj dziwniejsze. Z mego punktu obserwacyjnego, znajdującego się na znacznej nad miastem wysokości, mogłem obejrzeć je dokładnie, jak na mapie. Niezliczone ulice przecinały je bez żadnego planu, biegnąc we wszystkich kierunkach i przypominając raczej kręte aleje, niż ulice, dosłownie kipiące tłumem ludzi. Domy wyglądały dziwacznie i malowniczo. Wszędzie widać było balkony, tarasy, minarety, świątynie, okrągłe okna, zdobne wymyślnymi rzeźbami. Widziałem mnóstwo placów targowych, obfitujących w najrozmaitsze towary — jedwab, muśliny, wspaniałe wyroby metalowe, drogocenne kamienie. Pozatem wszędzie pstrzyły się barwne plamy chorągwi palankinów, lektyk z bogato odzianymi damami, owiniętymi w zasłony, przechodziły słonie, strojne we wspaniałe kapy,



niesiono potworne bałwany, huczały bębny, trąby, gongi, migały dzidy, srebrne i wyłaczane buławy. Wśród tego zamętu, w huczącym tłumie miliona czarnych i żółtoskórych ludzi w turbanach i płaszczach, z długimi, rozwiewającymi się na wietrze brodami, ryczała niezliczona ilość świętych, zdobnych węgami, byków, a legjony brudnych małąp z krzykiem i piskiem czepiały się gzymśów meczetów, minaretów i wieżyc. Te hałaśliwe ulice schodziły niezliczonymi szeregami stopni do kąpielisk na rzece, która — jak się zdawało — z trudem torowała sobie drogę wśród ciężko wyładowanych okrętów. Poza miastem rysowały się wspaniałe grupy palm, gdzieś niegdyś widać było pola ryżowe, kryte słomą domostwa rolników, cysterny, świątynie, tabor cygański, albo samotną postać smukłej dziewczyny z dzban-

kiem na głowie, dążącej do brzegu potężnej rzeki.

Naturalnie, sądzicie pewnie, że mi się to śniło, ale to nie był sen. We wszystkim, co widziałem, co słyszałem, co czułem, co myślałem nie było tego specyficznego odcienia, tak charakterystycznego dla marzeń sennych. Wszystko nosiło wybitnie realistyczny charakter. Początkowo, sądząc, że bredzę, poddałem się szeregowi prób, które przekonały mnie, że to, co przeżywam, jest jawą. Kiedy we śnie nadchodzi myśl „to tylko sen” — natychmiast znajduje ona potwierdzenie i śpiący budzi się prawie w tej samej chwili. Novalis zauważył całkiem słusznie, że „jesteśmy bliscy przebudzenia, kiedy śni nam się, że śnimy”. Gdyby obrazy, jakie mi się zjawiały, nie wzbudziły we mnie przypuszczenia, że śpię, mogłyby one być snem



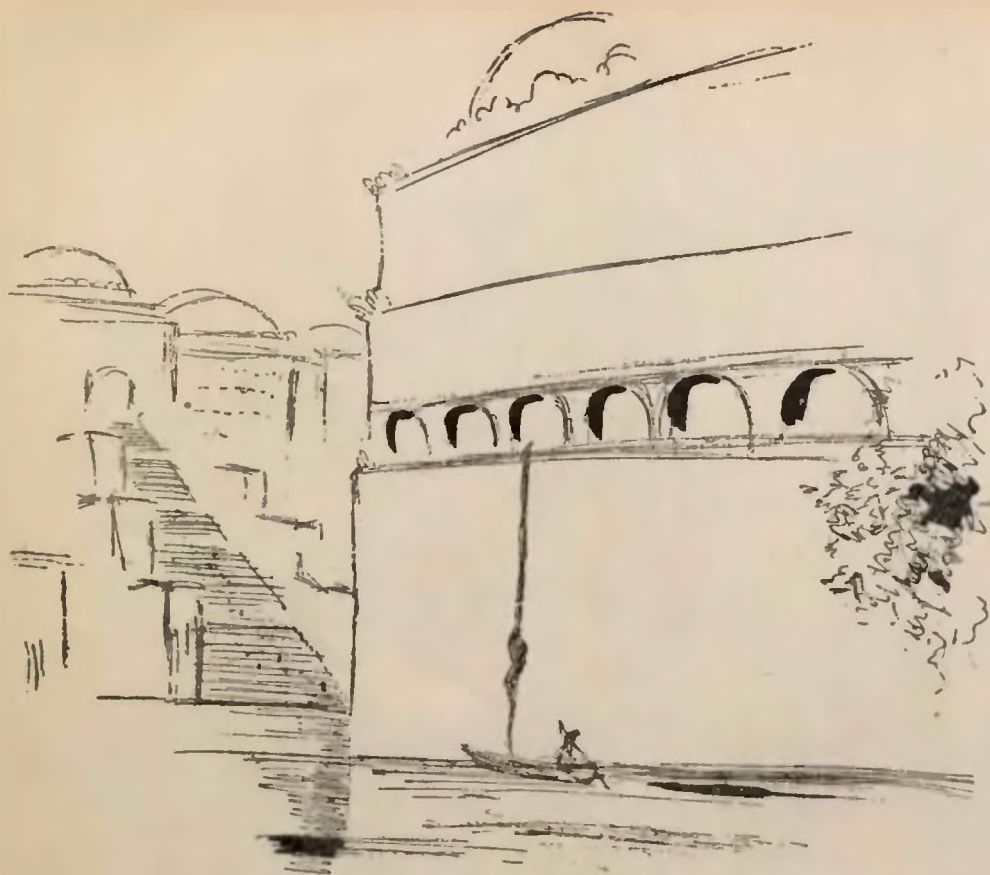
istotnie, ale z chwilą kiedy powziąwszy to podejrzenie, sprawdził je, muszę odnieść je do rzędu innego rodzaju zjawisk.

— Pod tym względem ma pan może i słuszność — wtrącił doktor Tempelton — ale niech pan mówi dalej. Pan wstał i ruszył ku miastu.

— Wstałem — podjął znów Bedloe, spojrzawszy z głębokim zdziwieniem na doktora — wstałem, jak pan powiedział, i ruszyłem ku miastu. W drodze wmieszałem się w tłum, dążący tam również jak mi się zdawało w niesłychanym wzburzeniu. Nagle, skutkiem jakiegoś niepojętego impulsu, poczułem głębokie osobiste zainteresowanie tem, co się tu działo. Jakbym przeczuwał, że czeka mnie ważna rola w jakimś dramacie, chociaż nie zdawałem sobie sprawy z tego, na czem ma ona polegać. W każdym bądź razie doznawałem uczucia głębokiej nienawiści względem otaczającego mnie tłumu. Wydobyłem się z tego mrowiska ludzkiego i okrężną dróżką dobiegłem do miasta. Panował tu niesłychany zamęt. Jakiś niewielki oddział ludzi, odzianych w napoły eu-

ropejskie, napoły indyjskie szaty pod dowództwem oficerów w napoły brytyjskich mundurach, toczył nierówną walkę z tłumem, przepełniającym ulice. Przyłączyłem się do słabszej partji, podniosłem broń zabitego oficera i biłem się, sam nie wiedząc z kim, z wściekłością rozpacz. Wkrótce jednak musieliśmy się cofnąć przed przewagą przeciwników, schroniliśmy się w jakimś domostwie, zabarykadowaliśmy się tam, zyskując na jakiś czas bezpieczne schronienie. Z wnętrza pod dachem domu widziałem olbrzymi tłum z szaleńczym zapałem atakujący piękny pałac nad rzeką. Wkrótce w oknie górnego piętra pałacu ukazała się jakaś delikatna postać, która zsunęła się po sznurze, uwitym z turbanów. Wdole na rzece oczekiwała na nią łódź i przewiozła ją na drugi brzeg.

Tymczasem opanowała mnie nowa myśl. Zwróciłem się do mych współtowarzyszy z krótkimi, ale energicznymi słowami; kilku z nich przyłączyło się do mnie i odważyliśmy się na wściekły wypad z domostwa. Rzuciliśmy się na otaczający nas tłum, który nie wytrzy-



mał pierwszego naporu i cofnął się. Nabrawszy animuszu, tłum ruszył, do ataku, lecz po rozpaczliwej walce, znów zmuszony został do cofnięcia się. Tymczasem odeszliśmy daleko od domu, zabłąkawszy się w wąskich uliczkach o wysokich, pochylonych domach, do których nigdy nie zaglądało słońce. Tłum z wściekłością napierał, grożąc dzidami i zarzucając nas chmurami strzał, bardzo zresztą dziwnych, bo przypominających płomienne noże malajów. Kształt ich podobny był do pełzającej żmiji, były czarne, bardzo długie z zatrutym ostrzem. Jedna z nich trafiła mnie w prawą skroń. Zachwiałem się i upadłem. W tej samej chwili wstrząsnął mną straszliwy ból. Kurczyłem się z bólu, dusiłem i umarłem.

— Teraz — powiedziałem, śmiejąc się — wątpię, czy będzie pan utrzymy-

wał, że całe to zdarzenie miało miejsce na jawie. Nie sądzi pan chyba, że pan umarł?

Spodziewałem się usłyszeć w odpowiedzi na to jakiś wesół żart, ale ku mojemu zdziwieniu, Bedloe wahał się, drżał, zbladł straszliwie i nie odpowiedział ani słowa. Spojrzałem na Tempeltona. Siedział w fotelu, wyprężony jak kij, dzwonił zębami, a oczy omal, że nie wyskakiwały mu z orbit. — Niech pan mówi dalej! — odezwał się wreszcie zachrypłym głosem.

— Przez kilka minut — ciągnął Bedloe — mojem jedynem wrażeniem — jedynem doznaniem — było wycucie mroku i niebytu, wraz z wyraźną świadomością śmierci. Wreszcie, silny i niespodziany jakby elektryczny prąd wstrząsnął mą duszą. Wraz z tem pojawiło się poczucie możliwości ruchu i światła,

które wyczuwałem, nie widząc. Potem wydało mi się, jakoby mi wstał. Nie posiadałem jednak cielesnej, widomej, doślyszalnej lub dotykanej postaci. Tłum znikł. Hałas ustał. Miasto uspokoiło się. U nóg mych leżało moje ciało, ze strzałą, tkwiącą w skroni, z obrzmiałą zeszpeconą głową. Wszystko to jednak wyczuwałem tylko, nie zaś widziałem. Byłem całkowicie obojętny. Nawet własne zwłoki wydały mi się przedmiotem, który mnie nie a nie nie obchodzi. Nie miałem żadnych pragnień, ale poczułem, że się poruszam i oddalam od miasta tą samą krętą drożyną, która mnie doń przywiodła. Dotarwszy do miejsca, w którym spotkałem hienę, doznałem znów wstrząsu jakby od baterji galwanicznej, powróciło mi poczucie ciężaru, woli, słowem cielesnego bytu. Stałem się znów samym sobą — i podążyłem śpiesznie do domu; przeżycia moje jednak nie zatraciły wyrazistości i nawet teraz rozsądek mój zdecydowanie nie godzi się uznać ich za sen.

— Bo też to nie był sen — rzekł Tempelton niezwykle uroczyście — chociaż nie wiem, jakby go należało nazwać. Przypuśćmy, że współczesny duch ludzki znajduje się w przede dniu wstrząsających odkryć psychicznych. Zadowolimy się tem przypuszczeniem. Wszystko pozostałe mogę wyjaśnić. Niech pan spojrzy na tę akwarelkę, którąbym dawno już panu pokazał, gdyby mnie nie powstrzymywał jakiś niewyjaśniony strach.

Spojrzelśmy na obrazek. Nie znalazłem w nim nic niezwyklego, jednak na Bedloe wywarł on szalone wrażenie: omal bowiem nie stracił przytomności. Tymczasem zaś była to minjaturowa podobizna, coprawda zadziwiającej roboty, jego własnej tak niezwyklej twarzy. Przynajmniej ja tak myślałem.

— Niech pan zwróci uwagę na datę pod obrazkiem — rzekł doktor Tempelton — oto tu, ledwo dostrzegalna, w samym rogu — 1780 rok. W tym roku namalowany został ów portret, niesłychanie podobny do oryginału — do mego przyjaciela mister Oldeb, z którym poznałem się i zaprzyjaźniłem

w Kalkucie w czasach Warrena Hastingsa. Liczyłem wówczas wszystkiego dwadzieścia lat. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem w Saratoga pana, mister Bedloe, uderzyło mnie niezwykle podobieństwo do portretu. Ono również skłoniło mnie do zapoznania się z panem, do szukania pańskiej przyjaźni i wreszcie do zawarcia umowy, mocą której stałem się pańskim nieodłącznym towarzyszem. W tym ostatnim wypadku kierowało mną częściowo, a może przede wszystkim, wspomnienie o zmarłym, ale również i chorobliwa, nie pozabawiona domieszki strachu, ciekawość w stosunku do pana.

Opisując obrazy, jakie zjawiły się przed panem wśród wzgórz, opisał pan z drobiazgową dokładnością miasto Benares nad Świętą rzeką. Bunt, potyczki, rzeź — to autentyczne wypadki z powstania Sheit-Singa, które zdarzyły się w roku 1780, kiedy to Hastings ledwo uniknął śmierci. Człowiekiem, uciekającym przy pomocy sznura, skręconego z turbanów, był sam Sheit-Sing. Oddział, ukryty w domostwie, składał się z sipajów i angielskich oficerów pod wodzą Hastingsa. Należałem do tego oddziału i wszelkimi siłami starałem się przeszkodzić nieobmyślanej i fatalnej wycieczce oficera, który poległ na ulicy, zabity zatrutą strzałą jakiegoś Bengalczyka. Oficerem tym był mój najlepszy przyjaciel. Był to Oldeb. Przekonał się pan z tego rękopisu — (doktór wyjął z kieszeni notatnik i wskazał na świeżo zapisane stronicę) — że w tym samym czasie, kiedy przeżywał pan te wszystkie wypadki wśród wzgórz, opisywałem je właśnie tutaj, u siebie w domu.

W tydzień po owej rozmowie w gazecie miejscowej ukazała się następująca wzmianka:

„Z głębokim smutkiem komunikujemy o śmierci pana Augusta Bedlo, gentlemana, który zdobył sobie ogólną sympatję mieszkańców Charlottesville, dzięki swemu uprzejmemu charakterowi i licznym zaletom.

W ostatnich latach mister Bedlo cierpiał na newralgię, grożącą niejednokrotnie tragicznymi skutkami, cierpie-

nie to jednak stało się poboczną przyczyną jego śmierci. Bezpośrednia przyczyna zgonu jest wysoce niezwykła. Parę dni temu, podczas przechadzki wśród Gór Skalistych, mister Bedlo przeziębził się i odtąd cierpiał na uderzenia krwi do głowy. Aby ulżyć jego cierpieniom, doktor Tempelton uciekł się do puszczania krwi. Do skroni chorego przystawiono pijawki. W zadziwiająco krótkim czasie pacjent zmarł: okazało się, że do słoika, zawierającego pijawki lekarskie, dostało się przypadkiem kilka pijawek jadowitych, żyjących w charlottesvillskich strumieniach.

Jedna z nich przyssała się do małej arterji na prawej skroni. Jej podobieństwo do pijawki lekarskiej było przyczyną omyłki, niestety, nie do naprawienia.

N. B. Jadowita pijawka różni się od lekarskiej czarną barwą ciała i ruchami

robaczkowemi, przypominającemi ruchy żmij“.

Rozmawiałem z wydawcą gazety o tem niezwykle zdarzeniu i, między innemi, spytałem, czemu nazwisko zmarłego wydrukowano Bedlo, bez końcówki e.

— Zapewne macie jakieś dane po tem — zauważyłem — ja bowiem przypuszczałem zawsze, że nazwisko to kończy się literą e.

— Dane? — ależ żadnych! — odpowiedział. — To poprostu błąd drukarski. Bedloe zawsze pisze się z e i, o ile mi wiadomo, nigdy nie pisało się inaczej.

— No, mruknąłem, pożegnawszy go — widać, że istotnie prawda dziwniejsza jest niż bajka. Przecież bez e — to Ołdeb, pisany odwrotnie. A on utrzymuje, że to błąd drukarski!

EDGAR ALLAN POE





Historja Czterech Wysp

Na wszystkich czterech wyspach, jednakowo ogrzanych soczystym, tropikalnym słońcem i tak samo porośniętych gęstymi zagajnikami palm kokosowych, panował cichy pokój i wygodny dobrobyt.

Z pierwszej, najbardziej na zachód wysuniętej wyspy, eksportowano na pozostałe, na lekkich łodziach, tłuste ko-

zie mleko i pachnące placki, na pobliskiej wyspie pleciono zgrabne kosze i wyrabiano prymitywne stroje z piór i liści, zależnie od sezonu.

Na dwóch pozostałych wyspach mieszkali rybacy i odbywały się uroczyste Święta Powodzi. Rify koralowe uparczywie i taktownie nie dopuszczały obcych okrętów na wody ciasnych zatok,

a ludność z wdzięcznością mawiała o swoim cichem życiu:

— U nas nie jest tak jak u innych: niema zmił, niema dżumy, ani cudzoziemców.

Wspólne uzbrojenie wszystkich czterech wysp składało się z dziewiętnastu oszczepów, trzech pistoletów bez cyngli i jednego bagnetu żołnierskiego model 1809. Była tam jeszcze niewiadomo skąd zawieruszona armata, ale w jej lufie mieszkała stara sowa, zaś zamkiem młode pokolenie krajowców rozbijało kokosowe orzechy.

Wszystko to w zupełności wystarczało dla pokojowego współżycia między wyspami. Zakłóceniem pokoju bywały rzadkie spory o źle upieczone placki albo spowodu drobnej i zgniłej ryby.

Ale niema nic nowego nietylko pod księżycem północy, ale nawet i pod tropikalnym słońcem.

Zdarzyło się pewnego razu, że fale, przebiegłszy szumnie między rafami koralowemi, w porywie samodzielności wyrzuciły na puste wybrzeże zachodniej wyspy zupełnie nagiego białego człowieka.

— Topielec — skonstatował poważnie dostojny starzec, wódz tubylców.

— Nie bądź optymistą! — ponuro oświadczył jego zastępcę — jeżeli go potrząśniemy, to on gotów jest ożyć.

I rzeczywiście, po tym nieskomplikowanym zabiegu nagi człowiek z ulgą westchnął, siadł na piasku, podrapał się pod pachami i rzeczowo oświadczył:

— A więc, na czym to zatrzymaliśmy się?

Tubylcy z lekką obawą spojrzeli na niego, ale szlachetnie zaproponowali mu zjedzenie śniadania i nakrycie się skórą leoparda oraz kupą świeżych liści. Nagi człowiek bez szczególnego pośpiechu ubrał się, solidnie sobie podjadł, a przeżuwszy ostatni banan, suchym tonem powtórzył:

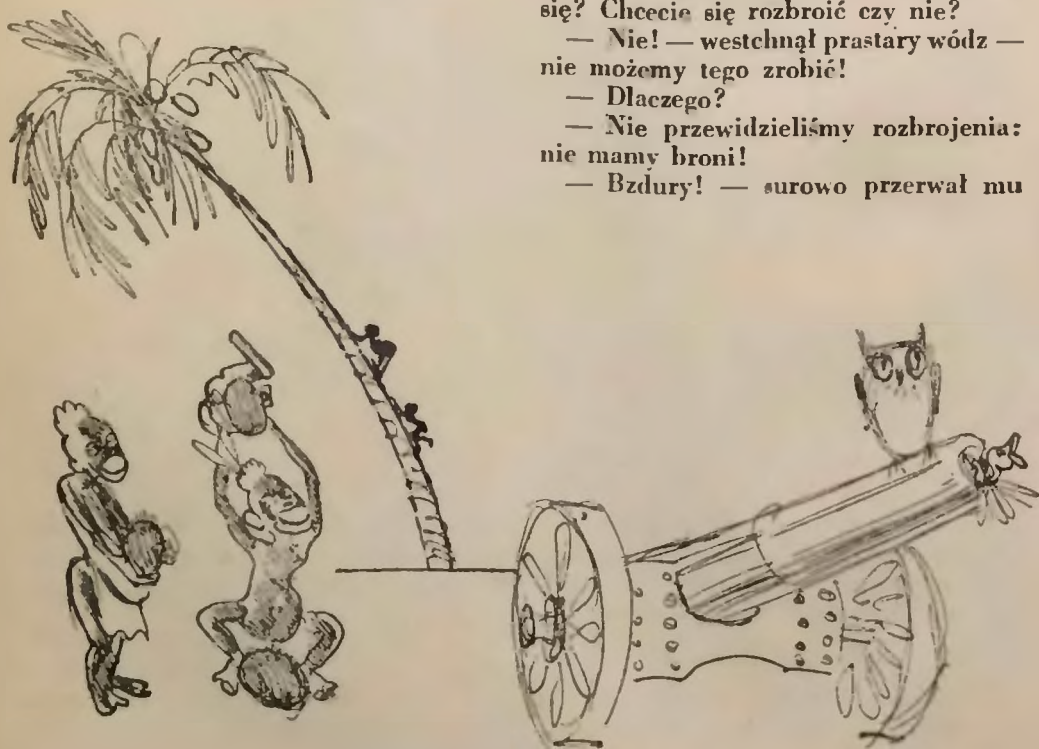
— A więc, na czym to zatrzymaliśmy się? Chcecie się rozbroić czy nie?

— Nie! — westchnął prastary wódz — nie możemy tego zrobić!

— Dlaczego?

— Nie przewidzieliśmy rozbrojenia: nie mamy broni!

— Bzdury! — surowo przerwał mu





były topielec — niema, to będzie. Oszczepy są?

— Są. Tępe.

— Można naostrzyć. Pistolety bez cyn-
gli, powiadasz? Można dorobić. Głów-
na rzecz to chęć rozbrojenia, a broń już
się znajdzie. Ile oszczepów macie na
wyspie?

— Cztery.

— A na sąsiedniej?

— Dziewięć.

— Zupełny bałagan! Jest rzeczą ko-
nieczną ustanowić średni poziom, pary-
tet, dla każdej wyspy: Dziewięć pik —
i niema co gadać. Proszę się pośpieszyć.

Od rana poruszeni tubylcy zaczęli
w szybkim tempie robić pięć brakują-
cych oszczepów. Zgrzytały kamienne pi-
ły, gięły się palmy i płakały dzieci. Nie
było wolnego człowieka, któryby mógł
odwieźć na sąsiednią wyspę mleko i plac-
ki. A kiedy stamtąd przyjechał na prze-
kręconym pniu miejscowy szef aprowi-
zacji, odpowiedziano mu krótko i wę-
złowato:

— Idź do diabła ze swemi placzkami!
Widzisz, że robimy oszczepy. Wy macie
dziewięć, a my mamy cztery. Znaleźli
sobie frajerów!...

Niewiadomo w jakiej formie opowie-
dział to wystraszony szef aprowizacji,
ale po upływie pół godziny zakipiała
tam gorączkowa robota.

— Ach tak, płazy! — zjadliwie

uśmiechnął się miejscowy wódz — ro-
bicie oszczepy? A potem może na nas
z temi oszczepami? Hej panowie, stru-
gać mi nowe... Mamy dziewięć, ale je-
szcze pięć nie zaszkodzi...

Dwie pozostałe wyspy, które zamiast
placków i mleka otrzymały niespodzie-
waną wiadomość o oszczepach, też nie
chciały być wystryknięte na dudka
i w rekordowym czasie przygotowały
proce, maczugi i oszczepy.

— Już dawno coś zauważyłem —
ostrożnie oświadczył dyplomata z czwar-
tej wyspy — szkoda tylko żeśmy tak
późno się zorientowali... Zresztą, jeszcze
zobaczymy.

Po tygodniu leżały na każdej wyspie
sterty broni. Tubylcy chodzili głodni
i źli. Ale zadowoleni:

— Niech teraz spróbują!... My im
draniom pokażemy!...

— No — zatrzymał ich biały gość —
teraz, zdaje się można już zacząć roz-
brojenie...

— Co jest do cholery? — wrzasnął
prastary wódz. — Ja sprzedałem cały
swoją zapas suchego drzewa, a teraz mam
oddać pieniądze?... To się nie uda!

— Niech się dzieje co chce — przy-
łączył się do wodza zastępca — forszę
będziemy oddawać? Tfu!...

Wysłali delegację na sąsiednią wyspę,
ażeby przekonała się ile tam jest broni.

— Parytet? — Surowo oświadczone



tam delegacji. — A chcecie parytetem w mordę dostać? Mało wam, że macie 110 oszczepów. My mamy 200. A na tamtych wyspach, kto wie, może po 400? Oni mają maczugi, a my nie mamy maczug!

Na trzech wyspach jedli tylko korę, ale zbroili się. Na pierwszej wyspie jedli placki, ale chodzili nago i robili oszczepy. 120-letnia staruszka usiłowała zawieźć sąsiadom trochę mleka, ale tamci schwytali ją, postawili przed sądem wojennym i jako szpiega utopili. Tu bylecy siedzieli na brzegach swoich wysp uzbrojeni od stóp do głów i czekali na paści.

— Ludzie mają oszczepy, siekiery i maczugi... czy będą siedzieli z założonymi rękami? Teraz trzeba patrzeć im na ręce...

Odcięte od siebie nienawiścią i podejrzeniem, cztery wyspy marniały w ubó-

stwie i zezwierzęceniu. Ażeby dorównać sąsiadom przerabiano na broń wszystko co wpadło pod rękę. Z wioseł robiono długie siekiery bojowe i nie było czym wiosłować. Gliniane garnki wypełniało się kamieniami, aby w ten sposób pełniły rolę granatów ręcznych. Nawet soczyste tykwy suszono tylko po to ażeby rozbijać nimi główki małych dzieci.

— Główna rzecz to zachować parytet! — zachęcał biały człowiek. — Jeszcze tydzień, a wszyscy będą uzbrojeni jednakowo...

Po nocach odpowiedzialni dozorczy arsenałów wyli z nadmiaru energii wojennej do księżyca. Kiedy na trzeciej wyspie wybuchła cholera, odbyło się na drugiej święto ludowe, pod hasłem: napisanem przez białego człowieka: „Więcej zdechnie — będzie spokojniej!”

Czwarta wyspa została nawiedzona

klęską powodzi. Ludność wyspy tonęła w oczach sąsiadów, którzy rzucali w tonących kamienie i liczyli:

— Jeszcze dwudziestu na dno...

Biały człowiek z zadowoleniem zacie-
rał dłonie:

— Teraz tylko małeńka kontrola nad uzbrojeniem i wszystko będzie w porządku... Polecam kontrolować w nocy, znieśnacka i nie bez podpalenia!

Kontrola uzbrojenia odbyła się dość hałaśliwie i nie bez wyników. Po kontroli zostało na wszystkich wyspach: 802 żywe krowy, 4 żywe kozy i 17 takichże tubylców.

— Niewiele, ale wystarczy! — powiedział biały człowiek i wywiesił chorąg-

giew na skale. Teraz mogą nasi przyjechać.

„Nasi“ przyjechali na solidnym krążowniku, a elegancki oficer delikatnie zapytał, wyskakując z łódki na brzeg:

— No, i jak sire? Przeprowadził pan rozbrojenie?

— Już, kapitanie. Można spokojnie zająć. Polecam wodzów nie wieszać, przydadzą się na dozorców przy robotach ziemnych.

— Ano, zobaczymy sire. Proszę do łódki!

Biały człowiek machnął rączką i pojechał na statek. Tak skończyło się rozbrojenie czterech spokojnych wysp pod soczystym tropikalnym słońcem...

A. BUCHOW





Sekret bohaterstwa

Po nieustającej walce obydwu armij, ciemne mundury żołnierzy były tak mocno pokryte pyłem, że pułk zlewał się w kolorze z glinianym wałem, chroniącym go przed pociskami. Na szczycie wzgórza ogłuszająco krzyczała baterja w sporze z innymi baterjami, a w oczach piechoty artylerzyści, armaty, jaszczke i konie rysowały się wyraźnymi sylwetkami na tle błękitnego nieba. Kiedy strzelano z armaty wybuchał na niebie czerwony pas, kształtu belki, gaśnąc jak błyskawica. Artylerzyści mieli białe spodnie z żaglowego płótna, w których nogi wyglądały znacznie większe; kiedy uciekli i zebrawali się w małe grupki na rozkaz oficerów, wywołali na piechocie silniejsze wrażenie niż zazwyczaj.

Fred Collins z kompanji A, mówił:

— Do diabła! Pić się chce. Niema tu gdzie w pobliżu wody?

Potem ktoś krzyknął:

— Trębacz jedzie!

Kiedy oczy połowy pułku zwróciły się w tym kierunku, powstało błyskawiczne zdjęcie konia, który ranny śmiertelnie, robił olbrzymi, konwulsyjny skok, i jeźdźca, odchylonego w tył, zasłaniającego twarz wygiętą dłonią i rozczapierzonymi palcami. Na ziemi purpurowy strach — wybuchający pocisk i nici płomieni, wyglądające jak oszczepy. Byszcząc trąba podskoczyła za plecami jeźdźcy, kiedy upadli śmiertelnie ranni człowiek i koń. W powietrzu jakgdyby powiało zapachem pożaru.

Od czasu do czasu piechota spoglądała w dół, na piękną łączkę, rozciągającą się pod jej nogami. Drżenie przebiegało po wysokiej, zielonej trawie, kołysanej przez lekki wiatr. Dalej powstawał z mgły szary szkielec domu, rozwalonego przez pociski i siekiery saperów, szukających paliwa. Linja, na której znajdował się dawniej płot, była teraz niewyraźnie określona przez wysokie

chwasty i ocalałe, rzadkie słupy. Pocisk rozwalił studnię. Pasma szarego dymu, podnoszące się wstęgami nad popiołem, wskazywały miejsce, gdzie przedtem znajdowała się stodoła.

Zza zielonej zasłony lasu dochodził szum okrutnej bijatyki, jakgdyby walczyło ze sobą dwoje zwierząt, wielkich jak wyspy. Od czasu do czasu pojawiały się wdali poruszający się szybko ludzie, konie, baterje, sztandary. W trzasku salw karabinowych, salw piechoty słyszało się niekiedy dzikie, szalone okrzyki. W tem piekle, dwaj żołnierze kompanji A, Smith i Ferguson, wdali się w gorący spór, który zatrącał o najistotniejsze zagadnienia państwowe.

Baterja na wzgórzu wciągnięta została wkrótce do strasznego pojedynku. Skakały białe nogi artylerzystów i częściej jeszcze rozlegały się rozkazy oficerów. Armaty, zachowując odważny wy-

gląd, świadczyły o nieskończonem oparowaniu wśród tych jęków śmierci, płynących wokół wzgórza.

Jeden koń w zaprzęgu upadł na ziemię, a oszaleli jego bracia ciągnęli poszarpany kadłub, ratując się z chaosu. Młody żołnierz, siedzący na jednym z pierwszych koni taborów, pieklił się, przeklinał i wściekle szarpał lejce. Oficer krzyknął rozkaz tak groźnie, że głos mu się przełamał i przeszedł w cieniutki falset.

Pierwsza kompanja pułku piechoty znalazła się w strefie niebezpiecznej, więc pułkownik wydał rozkaz cofnięcia się ku wzgórzu, które było osłoną. Słyszano się uderzenia stali o stal.

Porucznik artylerji zjechał ze zbocza wzgórza i minął żołnierzy, starannie podtrzymując lewą ręką prawą. Wydawało się, że ręka ta nie była częścią jego ciała a należała do innego człowie-



ka. Jego powolny, zamyślony koń szedł stępą. Twarz oficera była spocona i brudna, mundur zmięty, jakgdyby oficer był po walce wręcz. Uśmiechnął się chmurnie w stronę patrzących żołnierzy. Konia skierował na łączkę.

Collins z kompanji A powiedział:

— Chcę pić. Założę się, że tam jest woda w tej starej studni!

— Tak, ale jak ją wydobędziesz?

Bowiem łączka, dzieląca ich od studni, znajdowała się w tej chwili pod silnym ogniem artyleryjskim. Po jej wspanianym, zielonym spokoju nie zostało śladu. Olbrzymiemi garściami fruwała ciemna ziemia. Odbychał się mord młodych łodyg trawy. Ta skromna łączka stała się obiektem nienawiści pocisków a każdy pocisk, pękając, był jak przekleństwo rzucane w twarz dziewczyny.

Ranny oficer, który przecinał tę przestrzeń, powiedział do siebie:

— Gdyby się tu nawet znajdowała cała armja nie mogliby strzelać bardziej zawzięcie.

Pocisk trafił w szare ruiny domu i kiedy ucichł huk, upadła chwiejna ściana, a jej trzask przypominał stuk okiennic zimą, w czasie burzy. Żołnierze znajdujący się pod osłoną nasypu, wyglądali jak ludzie, którzy stojąc nad brzegiem morza, obserwują wzburzone fale. Anioł śmierci skierował swe oczy na baterję na wzgórzu. Było coraz mniej ludzi z białemi nogami, uwijającymi się koło armat. Pocisk padł na jedno z dział i kiedy rozszedł się płomień, dym i kurz, można było zobaczyć białe nogi, rozpostarte poziomo na ziemi. W tym skrawku czasu, stylu, gdzie powinny stać konie artyleryjskie, zwrócone pyskami do pola bitwy i czekać na rozkaz, by odwieźć armaty daleko od miejsca zagłady, albo na jej spotkanie, albo tam gdzie je pogonią niezrozumiałe istoty, uzbrojone w bicz i ostrogi, w tym rzędzie biernych i niemych widzów, których drżące serca nie pozwalają im jednak zapomnieć o żelaznych prawach ludzkiej władzy nad niemi — w tym hufcu zwierząt-żołnierzy trwała nielitościwa i okropna walka. Spoza kupy ociekających krwią i leżących ko-

ni, mogli żołnierze zobaczyć jednego konia, jak podniósłszy na przednich nogach swe okaleczone ciało, spoglądał wymownem spojrzeniem na niebo.

Któryś z towarzyszy Collinsa śmiał się z jego pragnienia:

— No i co? Jeżeli ci się tak bardzo chce pić, to dlaczego nie pójdziesz po wodę?

— A właśnie że pójdę, jeżeli nie zamkniesz pyska!

Porucznik artylerji pognął swego konia wdół po skłonie wzgórza z takim spokojem, jakgdyby znajdował się na równinie. Zrównawszy się z pułkownikiem piechoty, zasalutował śpiesznie.

— Będziemy się musieli z tego wy dostać! — zawołał gniewnie.

Oficer miał czarną brodę, a jego oczy, podobne do koralu, błyszczały jak oczy szaleńca. Na galopującym koniu przebiegł przed kolumną piechoty.

— No — powiedział pułkownik — jeśli chcesz iść, to ruszaj.

Collins zasalutował:

— Dziękuję bardzo, panie pułkowniku.

Kiedy poszedł, zawołał pułkownik wślad za nim:

— Weź ze sobą manierki innych ludzi i wracaj szybko!

— Tak jest, sire!

Wtedy pułkownik i kapitan popatrzyli na siebie, przyszło im bowiem jednocześnie na myśl, że nie mają pojęcia o tem, czy Collins chce iść, czy nie chce.

Odwrócili się i popatrzyli na Collinsa, a kiedy zobaczyli, że jest otoczony grupą gestykulujących towarzyszy, pułkownik powiedział:

— Do diabła! Zdaje się, że on idzie!

Collins czynił wrażenie człowieka, poruszającego się we śnie. Na rady, pytania, ostrzeżenia, na żywą gadaninę towarzyszy pułkowych odpowiadał milczeniem.

Tłoczyli się dokoła, przygotowując go do nadchodzącej próby. Kiedy go troskliwie oglądali, zdawało się, że to dżokeje oglądają konia przed wyścigami. Byli wstrząśnięci takim obrotem



rzeczy. Ich zdziwienie wyrażało się w dziwnych powtórzeniach:

— Czy naprawdę pójdiesz?

— Oczywiście, że pójdę! — krzyknął wreszcie rozwścieczony Collins.

Ponuro poszedł przed siebie, wymachując kilku manierkami, zawieszonymi na sznurkach. Zdawało się, że jego kepi nie chce siedzieć na głowie. Często bowiem podnosił rękę i poprawiał je.

Głębokie rzędy kolumn drgnęły. Kolumna, przypominająca długie zwierzę, poruszała się zlekka. Czteryście oczu wpiło się w postać Collinsa.

— Tam do licha. Nie pomyślałbym, że Collins będzie miał odwagę wykonania takiej sztuczki.

— A czegoż mu właściwie potrzeba?

— Idzie po wodę, tam do studni.

— Ale my przecież nie umieramy z pragnienia. Przecież to nonsens.

— Ktoś go podbechtał, więc idzie.

— To warjat!

Kiedy Collins odwrócił się twarzą do łączki i odszedł od pułku, poczuł niejasno, że przepaść, mieszcząca jego ambitne zamiary, rozwarła się między nim a jego kolegami. Rozwarła się na krótki czas, ale był jeden warunek — powrócić jako zwycięzca. Ślepo ciągnęły go dziwaczne doznania. Wziął na siebie obowiązek iść prosto na spotkanie śmierci.

Ale nie był pewien tego, że chce odstąpić, nawet gdyby to można było zrobić bez ściągnięcia na siebie hańby. W istocie, mało czego był wogóle pew-

ny. Jego podstawowem doznaniem było zdziwienie.

Wydawało mu się niesłychanie dziwne to, że on sam, z własnej woli, stworzył dla swego ciała taką właśnie sytuację. Rozumiał, że może ona być nazwana dramatycznie wspaniałą.

Jednak niezdolny był do pełnej oceny czegokolwiek, zdawał sobie tylko sprawę z tego, że jest oszołomiony. Czuł, jak przystępiona świadomość pomacku odszukuje formy i barwy tego wydarzenia. Był zdziwiony, dlaczego nie odczuwa strachu, lęku, który jak ostry nóż tnje uczucie. Dziwił się, bowiem w ciągu wieków człowiek oświadczał wszem wobec, że ludzie muszą się bać niektórych rzeczy i że wszyscy ci, którzy nie odczuwają tego strachu, są fenomenami — bohaterami.

To znaczy, że był bohaterem! Odczuł to samo rozczarowanie, którego doznajemy my wszyscy, przekonawszy się, że jesteśmy zdolni dokonywać czynów, które budziły w nas zachwyt podczas lektury legend i powieści historycznych. Oto jacy są bohaterowie! W rezultacie bohaterowie niewiele są warci.

Nie, to nie mogło być prawdą. On nie jest bohaterem. W życiu bohaterów nie było czynów podłych, a on pożył u swojego przyjaciela 15 dolarów i przyrzekł oddać nazajutrz, a potem unikał go w ciągu dziesięciu miesięcy. W domu, kiedy matka budziła go rano do pracy na fermie, był często rozdrażniony, dziecinny, zły; a póki wojował, matka umarła.

Zrozumiał, że w tej historii ze studnią, manierkami, pociskami on jest tylko samozwańcem, wpychającym się do kraju sławnych czynów.

Teraz znajdował się w odległości trzydziestu kroków od swoich towarzyszy. Pułk w tej chwili właśnie skierował na niego swą twarz.

Z lasu, skąd dochodził straszny szum, wyszedł nagle niewielki, nierówny rząd ludzi. Strzelali chaotycznie i pośpiesznie w dalekie drzewa, nad którymi ukazały się kłęby białego dymu. Trzask strzałów karabinowych połączył się z hukiem armat na wzgórzu. Rząd lu-

dzi pobiegł naprzód. Sierżant-chorąży upadł razem ze sztandarem, jakgdyby poślizgnął się na lodzie. Z dalekiego pola szło ochryple: hurra!

Collins raptownie poczuł, że dwa djabelskie palce zatykają mu uszy. Nie widział nic prócz lecących, czerwonych strzał. Drgnął, wstrząśnięty rozervanym pociskiem i pobiegł jak szalony w stronę domu. Dom był dla niego brzegiem, na który spogląda człowiek, pogrążony aż po szyję w kipiących falach przypływu. W powietrzu piszczały odłamki pocisku. Potworny huk wybuchów doprowadzał go do obłędu. Biegł, a manierki dzwoniąc rytmicznie, stukały o siebie.

Kiedy zbliżył się do domu, zarysowały się przed nim żywo najdrobniejsze szczegóły. Zauważył kilka cegieł z rozbitego komina. Zobaczył drzwi, wiszące na jednej zawiasie.

Kule karabinowe, wysyłane uporczywie przez czołowy oddział, przybywały z dalekiej grupy drzew. Mieszały się one z odłamkami i pociskami a krzyk, nawoływanie, pisk, wycie przecinały powietrze w różnych kierunkach. Niebo kotłowało się od złych duchów, który ześrodkowały swój gniew nad głową Collinsa.

Kiedy podbiegł do studni, upadł plackiem i spojrzał w ciemny otwór. W odległości kilku stóp od powierzchni przebiegały srebrzyste odblaski. Wziął jedną manierkę i zdjawszy pokrywę, opuścił ją na sznurze nadół, do studni. Napełniała się powoli wodą, bulgocząc leniwie.

I kiedy leżał z opuszczoną głową ściał go nagle strach. Ścisnął mu serce jak pazurami. Mięśnie osłabły. Na sekundę był podobny do umarłego.

Manierki napełniały się bardzo wolno. Wkrótce odzyskał siły i zaklął krzykliwie. Pochylił się nad studnią tak, że mogło się zdawać, iż chce czerpać rękami. Jego oczy, skierowane w głąb studni, połyskiwały metalicznie. Była w nich wielka prośba i wielkie przekleństwo. Głupia woda kpiła sobie z niego.

Rozległ się ogłuszający huk pocisku.



Malinowe światło wyrwało się przez zasłonę dymu i różowy odbłask padł na ściankę studni. Collin ostro szarpnął rękę, wyciągając manierkę, jak człowiek odsuwający głowę od rozpalonego pieca.

Powstał, rozejrzał się uważnie i zawahał się. Koło niego leżało na ziemi stare wiadro studzienne z zardzewiałym łańcuchem. Szybko opuścił je do studni. Wiadro dotknęło wody i leniwo przekręciwszy się na bok, utonęło. Kiedy Collins, przebierając łańcuch drżącymi rękami, wyciągał wiadro ze studni, uderzało ono o ściany studni i woda rozpryskiwała się dokoła.

Człowiek, obciążony pełnem wiadrem ma swoisty krok. Przecinając to straszne pole, nad którym krzyczały zajęte anioły śmierci, biegł Collins jak wieśniak wygnany z pastwiska krów.

Twarz jego z wylupionemi oczami

pobladła: przeczuwał cios, który go powali na ziemię. Upadnie tak jak padali w jego oczach inni ludzie. Życie porzucało ich tak nagle, że kolanami i głowami równocześnie dotykali ziemi.

Widział długą, błękitną linję pułku, ale towarzysze patrzący na niego, stali na skraju jakiejś niepojętej gwiazdy. Na ziemi, pod nogami, zauważył głębokie koleiny i ślady kopyt. Oficer artylerji, leżący na łączce, jęczał temu chaosowi w twarz. Tylko pociski i kule słyszały owe słabe okrzyki agonji. Kiedy przebiegł oszalały Collins, oficer podniósł się na łokciu. Twarz miał skrzywioną od bólu. Chciał wydać wielki, błagalny krzyk. Wtem zamarszczki na jego twarzy wygładziły się i oficer zawołał:

— Daj wody!

Collins nie mógł dziwić się. Zbliżający się kres doprowadził go do obłędu.

— Nie mogę! — pisnął i ta odpowiedź najpełniej wyraziła jego drżące obawy. Kępi zleciało, włosy potargały się. Ubranie miało taki wygląd jakby Collinsa za nogi ciągnięto po ziemi. Pobiegł dalej.

Głowa oficera opadła, ręka zgięła się. Noga, wstawiona w miedziane strzemię leżała wciąż jeszcze na koniu, druga noga znajdowała się pod koniem.

Ale Collins wrócił. Rzucił się wstecz. Twarz jego poszarzała a w oczach zastąpił lęk.

— Jest woda. Jest!

Oficer wyglądał jak pijany. Jego ręka wygięła się jak gałąź. Opadał powoli na ziemię, twarzą w dół.

Collins chwycił go za ramię.

— Jest woda! Jest woda! Odwróć się, odwróć się na miłość boską!

Kiedy Collins pociągnął go za ramię, oficer przewrócił się i upadł, odwracając twarz do nieba, gdzie szumiały niewytlumaczone siły. Cień uśmiechu zjawiał się na jego wargach, kiedy spojrzał

na Collinsa. Westchnął głęboko i lekko jak dziecko.

Collins usiłował trzymać wiadro mocno, ale ręce mu się trzęsły i woda wylewała się na twarz umierającego. Collins szarpnął wiadro i pobiegł dalej.

Pułk powitał go wyciem. Brudne twarze skręcały się od śmiechu.

Kapitan odsunął wiadro:

— Daj chłopcom — powiedział.

Dwaj porucznicy, młodzi, żwawi wesółkowie, pierwsi owładnęli wiadrem. I zaczęli zabawę.

Kiedy jeden usiłował wypić, drugi żartobliwie trącał go w rękę.

— Przestań Billy. Przecież wyleję wodę! — powiedział pierwszy.

Tamten roześmiał się.

Nagle rozległo się przekleństwo, stuk padającego na ziemię przedmiotu i szybki, zdziwiony szepot przebiegł przez rzędy. Porucznicy patrzyli na siebie. Puste wiadro leżało na ziemi...

ST. CRANE



W miłosnym labiryncie

Żona pewnego pracownika zakochała się w aktorze. Był czas, że nie wiedziała co zrobić. Czy porzucić męża i zamieszkać z kochankiem, czy też pozostać przy prawowitym małżonku i nie zmieniając trybu życia, podkochać się zlekka w aktorze. Wreszcie, przejrzawszy, że artysta dramatyczny nie oprócz talentu nie miał, postanowiła z mężem się nie rozłączać. Tem hardziej, że i aktor wcale nie miał zamiaru się żenić, jako, że był żonaty a nawet dzieciaty.

Że jednak opisane osoby kochały się mimo wszystko, więc od czasu do czasu odbywały się spotkania. On do niej telefonował, ona zaś przychodziła na próby do teatru. Takie jednak spotkania nie mogły zadowolnić ich miłości. Martwili się ciągle, że życie tak jakoś kiep-



sko się układa, że nie mają gdzie pomówić o swoim szalonem uczuciu. Ona nie mogła do niego przyjść, jako że był żonaty. On zaś mógł, a nawet bywał u niej w czasie nieobecności jej męża. Lecz odwiedziny te nie odpowiadały aktorowi. Jako człowiek nerwowy, a nadto obdarzony chorobliwą fantazją, aktor bał się, poprostu zdawało mu się, że w każdej chwili wejdzie mąż i wybuchnie kłótnia może nawet ze strzelaniną i t. p. Pod wpływem tych myśli artysta zachowywał się poprostu jak obłąkany, a ściślej mówiąc, umierał ze strachu. Widząc to, przyjaciółka przestała go zapraszać. Niby poco. Uczucia jednak biegły swoim torem i prosiły się o rozwiązanie. Wobec tego zakochana żona wpadła na nowy pomysł. Powiedziała:

— Wie pan, jeśli zależy panu na spotkaniu ze mną, to proszę przyjść na zajutrz do mojej przyjaciółki.

— A to pięknie — odparł artysta dramatyczny — ho wie pani, mój zawód wymaga wysubtelnionych nerwów. I właśnie z racji takowych nie mogę nie hać się, odwiedzając panią w czasie nieobecności jej męża.

Zakochana żona miała przyjaciółkę Zosię. Tancerkę z baletu. I właśnie w jej mieszkaniu miało odbyć się upragnione spotkanie.

Bohater nasz wysztafirował się jak tylko mógł i wali na spotkanie. Trze-



ba zaś zauważyć, że w tramwaju spotkała go niemiła przygoda. Pokłócił się z jakimś pasażerem. Od sprzeczki do kłótni i w rezultacie aktor, jako jednostka nader emocjonalna, uniósł się zbyt i, gdy przeciwnik wysiadał z tramwaju, plunął na niego. Ze zdenerwowania.

Był to jednak mało znaczący epizod. Artysta znajdował się w doskonałym humorze i nic mu nie mogło zepsuć nastroju. Spotkał się ze swoją sympatją i oboje udali się do wypożyczonego mieszkania, od którego klucz piastowali czule w rękach. Weszli, siedli na kanapie, aby pomówić o swoim głębokim uczuciu, gdy nagle we drzwi ktoś zapukał. Młoda dama nakazała gestem milczenie, ale artysta i tak zamarł w przerażeniu.

Nagle za drzwiami rozległ się głos:

— Wyszła? A czy prędko wróci?

Nasza dama, słysząc ten głos, zbladła i oznajmiła aktorowi, że za drzwiami stoi jej mąż. Że pewno zobaczył ich na ulicy, śledził i przyszedł tutaj.

Słyszając to, artysta dramatyczny wstrzymał oddech w piersi. Położył się na kanapie i tylko patrzył z niewymowną tęsknotą i żalem na swoją przyjaciółkę.

Tymczasem głos za drzwiami ciągnął:

— Wobec tego zostawię kartkę. Proszę powiedzieć, że byłem.

Spod drzwi wysunął się strzępek białego papieru. Nasza dama złapała go czempředzej i przeczytawszy, padła na kanapę z ogromnym płaczem i jękiem. Kartka mówiła:

— Zosińko moja, przypadkiem zwolniłem się wcześniej. Wpadłem do ciebie, lecz niestety nie zastałem. Przyjdę o trzeciej. Mocno całuję. Mikołaj.

Artysta zamyslił się:

Nic innego, tylko mąż kocha się w tej Zosi. Teraz pani może mieć spokojne sumienie...

Zaledwie aktor nabrał odwagi, gdy rozległ się ponowny hałas. Tym razem ktoś walił rozpaczliwie w drzwi i wołał:

— Proszę otworzyć, prędej. To ja. Czy nikt do mnie nie przychodził?

Nasza dama poznała głos przyjaciół-



ki, otworzyła drzwi i z płaczem oddała pechową kartkę. Przyjaciółka starała się ukryć zażenowanie:

— Niema w tem nic dziwnego. A skoro już wszystko wiecie, nie mam potrzeby ukrywać prawdy. Wogóle proszę zaraz wyjść, ponieważ oczekuję wizyty.

— Jakto wyjść? — zawołała nasza dama — z kartki widzę, że ta wizyta to mój mąż. Ładna historia. A ja mam wyjść. Chcę zostać, chcę na własne oczy zobaczyć, jak ten łajdak wejdzie do tego gniazda rozpusty.

Słyszając to wszystko, zakochany młodzieniec chciał poprostu czmychnąć. Ale przyjaciółki zaczęły się sprzeczać: czy ma odejść, czy też zostać jako dowód rzeczowy. Wreszcie postanowiono, że może odejść. Ale w tej chwili rozległo się pukanie w drzwi, mąż przyszedł.

Artysta upadł na duchu. Z początku chciał położyć się na kanapie i udąć unierającego, ale zrozumiał, że tak będzie gorzej. Zerwał się i zaczął biegać po pokoju, wyczyniając straszliwy rumor.

Mąż za drzwiami zdziwił się i nie czekając dłużej, począł wyważać drzwi, myśląc, że w pokoju stało się coś niezwykłego. Przyjaciółka uratowała sytuację.

— Tu są drzwi do pokoju mego sąsiada — rzekła zwracając się do artysty — wal pan prędzej. Stamtąd do korytarza i na schody. Żegnam.

Artysta rzucił się do wskazanego pokoju. Skierował się do korytarza, lecz w ostatniej chwili zauważył, że drzwi do korytarza były zamknięte. I to

zzewnątrz, zdaje się na kłódkę. Co robić? Bohater nasz chciał wrócić i przedstawić obu damom krytyczną sytuację, w jakiej się znalazł. Lecz było zapóźno. W tamtym pokoju znajdował się już mąż i wybuchła kłótnia.

Artysta w jednej chwili poczuł się słabo. W głowie mu się zakotłowało. Położył się na łóżku, sądząc zresztą, że tutaj nic mu nie grozi.

Leży więc i myśli. O tem i o owem, a w szczególności o szaleństwie miłosnych porywów. I nagle słyszy: ktoś otwiera drzwi. Kłódka brzęczy, nie ulega wątpliwości, ktoś zaraz wejdzie.

I naraz drzwi otwierają się i na progu staje mężczyzna z paczkami Torgsinu w rękę.

Ujrawszy nieznajomego człowieka w pokoju i do tego na swoim łóżku, przybysz otworzył ze zdziwienia usta.

Artysta zaczął jąkać się i przeproszać. Nagle zamarł w przerażeniu. W gospodarzu mieszkania poznał tego pasażera z tramwaju, z którym pokłócił się, jadąc na spotkanie, i którego wkońcu opluł. Nieżywy ze strachu, artysta leżał na łóżku i nie wiedział, czy to przykry sen, czy też jawa.

Tymczasem przybysz nie posiadał się ze zdziwienia:

— Patrzcie no, państwo — wołał — to ja teraz kobiety oczekuję, a w moim pokoju jakieś indywiduum się ulokowało. I jak to weszło? Przez zamknięte drzwi?!

Artysta, widząc, że nikt go nie bije, zaczął wołać nieco śmieiej bolesciwym tonem:

— Ach, pardon! Ja zaraz pójde sobie. Tylko na malenieczką chwilę położyłem się. Nie wiedziałem, oczywiście, że to pańskie łóżko. W głowie mi się kręci. Z nadmiaru ostatnich przeżyć.

Ale gospodarz, u którego zdziwienie przeszło wreszcie w gniew, krzyknął:

— To świństwo! Patrzcie, z girami na moje łóżko wlaź. Ja nawet najbliższym znajomym nie pozwalam na łóżko wlaźć. Cóż to znowu za moda! A to łajdak!

To mówiąc, gospodarz rzuca się na artystę i usiłuje ściągnąć go z łóżka.





Naraz spostrzega, że to indywiduum z zajścia w tramwaju.

— A, mam ciebie, żeby ci ślepiec spuchły!

I już sięga do gardła. Naraz ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

— No — zawołał gospodarz — dziękuj Bogu, że do mnie dama przyszła. Bo jak nie, to zrobiłbym z ciebie kisiel.

W drzwiach stanęła dość niczego sobie dama. Nasz bohater jednak na jej widok aż odskoczył. Była to jego żona. Przypadek, rzeczywiście, fatalny.

Nasz artysta wpadł poprostu w szal. Wydierając się w niebogłosy i przewracając krzesła w pokoju, zażądał wyjaśnienia. Żona w płacz. Przyszła do kolegi z biura na herbatkę. Czasem to się zdarza, że przychodzi do niego na herbatkę z ciastkami. Zażenowany kolega z biura zaproponował zgodę i wspólne wypicie herbaty. Ale artysta nie chciał o tem nawet słyszeć, wymyślał i darł się na całe gardło. Żona dostała hysterji. Gospodarz przypomniał

sobie zajście w tramwaju. I tu zrobił się taki harmider, że zbiegli się wszyscy sąsiedzi. Wśród ciekawych znalazła się także nasza dama z mężem i przyjaciółką.

Dowiedziawszy się o co idzie, szczęciro zainteresowanych podjęło naradę. Zosia z baletu zgłosiła następujący wniosek:

— Rozwiązanie bardzo proste. Ja wyjdę za Mikołaja. Artysta ożeni się z jego żoną. A tych dwoje z biura stworzą nowe szczęśliwe stadło.

Kolega z biura zaprotestował:

— Dziękuję ślicznie. Ona ma kupę dzieciaków, a ja mam się z nią żenić. Dobrze sobie. Znaleźli frajera.

— Proszę nie obrażać mojej żony — wcale nie zamierzam wydawać jej za pierwszego lepszego.

— Ależ ja do niego nie pójde — oświadczyła żona artysty. — Patrzcie jak on ma pokój. Jak się tu zmieszczę, do tego z dziećmi.

— Z dziećmi? — zawołał kolega z biura. — Z armat strzelać będę. Nie puszczę. Nie dosyć, że ma takiego męża



Pogrzeb Johna Mortonsona

John Mortonson umarł: wszystkie jego repliki w tragedji „Człowiek“ zostały wypowiedziane i John opuścił scenę.

Ciało spoczywało w pięknej trumnie z czerwonego drzewa, ze wstawionem szkłem. Wszystkie przygotowania do pogrzebu przeprowadzone zostały tak troskliwie, że gdyby umarły wiedział o tem, wyraziłby się napewno o nich pochlebnie.

Twarz, znajdująca się pod szkłem, nic była odpychająca. Zastygł na niej

słaby uśmiech. A ponieważ zgon nastąpił bez cierpień, twarz nie była zmieniona do tego stopnia, aby biuro pogrzebowe nie mogło jej odrestaurować.

O godzinie 2-ej popołudniu mieli się zebrać przyjaciele, aby oddać ostatnią posługę temu, który więcej nie potrzebował przyjaciół i posług.

Członkowie rodziny często zbliżali się do trumny i płakali nad spokojną twarzą, widniejącą za szkłem, wprawionem w trumnę.

Nie było im przez to lżej. Nie lżej było i Johnowi Mortonsonowi. Lecz w obliczu śmierci milczy rozum i filozofja.

Przed drugą zaczęli się gromadzić przyjaciele i ofiarowawszy rodzinie te słowa pociechy, jakich wymaga dobre wychowanie, zasiedli uroczyście pod ścianami, zdając sobie sprawę z tego, jak doniosła i ważna jest ich obecność w obrządku pogrzebowym.

Potem przyszedł duchowny i w jego obecności zgasły pomniejsze światła.

Za nim przysła wdowa. Jej jęki wypełniły pokój. Zbliżyła się do trumny i przypadła twarzą do zimnego szkła. Po sekundzie córka łagodnie odprowadziła ją do najbliższego krzesła.

Smutno i cicho sługa boży rozpoczął panegiryk na cześć zmarłego i smętny głos jego, łącząc się z westchnieniami, wzmagał się i ucichał, zbliżał się i odstępował, niby szum ponurego morza.

I w czasie, gdy przemawiał, pochmurny dzień stał się jeszcze mroczniejszy.

Zasłona z chmur powlokła niebo i słysząc było pierwsze krople spadającego deszczu.

Zdawało się, że to cała przyroda opłakuje zgon Johna Mortonsona.

Kiedy duchowny zakończył modlitwę swą mowę pochwalną, chór odśpiewał pienia żałobne i żałobnicy zajęli miejsca przy trumnie.

Zamarły ostatnie dźwięki hymnu, gdy wdowa rzuciła się ku trumnie i zapłakała histerycznie. Lecz posłuszna namowom, opanowała się nieco. A kiedy duchowny chciał odprowadzić ją od trumny, oczy jej zatrzymały się na twarzy zmarłego, pod szkłem.

Z jękiem, uderzywszy w dłonie, padła wtył zemdlona.

Rodzina rzuciła się w stronę trumny. Za rodziną — przyjaciele. I kiedy zegar na kominku wybił godzinę trzecią, wszyscy patrzyli na twarz Johna Mortonsona.

Odwrócili się, czując zawrót głowy i przerażenie. Ktoś, starając się w trwodzie uciec od straszego widoku, wpadł z taką siłą na trumnę, że wytrącił jedną z chwiejnych podpórek.

Trumna upadła na ziemię. Szkło pękło od wstrząsu.

Z otworu wypelzył kot Johna Mortonsona, skoczył leniwie na podłogę, spokojnie umył przednią łapą mordkę, a potem z powagą wyszedł z pokoju...

A. BIERCE

